

D Y S K U S J A R E D A K C Y J N A**O PODZIAŁACH SPOŁECZNYCH Z REDAKTORAMI „KIS” ROZMAWIAJĄ:
ANDRZEJ FRISZKE, MIROŚŁAWA GRABOWSKA, ANDRZEJ LEDER,
MICHAŁ ŁUCZEWSKI, ANTONI Z. KAMIŃSKI, JAN SOWA,
MIROŚŁAWA MARODY***

Andrzej Piotrowski, prowadzący dyskusję: Idea tomu o genealogii podziałów powstała już dawno, jeszcze za życia Elżbiety Tarkowskiej, ale dopiero teraz jesteśmy gotowi do dyskusji na ten temat. Na początku pod adresem autorów „Kultury i Społeczeństwa” sformułowaliśmy apel o namysł nad tym zagadnieniem i nadsyłanie tekstów. Powstała w ten sposób kolekcja artykułów w rozmaity sposób dotyczących zróżnicowań społecznych, zwłaszcza podziałów we współczesnej Polsce. Doszliśmy wówczas do wniosku, że złożoność tej problematyki zasługuje na to, aby opatrzyć ją wstępem powstałym w wyniku dyskusji specjalistów, którzy się zróżnicowaniem, także polaryzacyjnym zróżnicowaniem, zajmują i mają to w swoim znaczącym dorobku.

Powiada się, że we współczesnym świecie mamy do czynienia z jednej strony z globalizacją, która w sferze ekonomii i techniki prowadzi do ujednoczenia wielu struktur życia zbiorowego, ale — paradoksalnie — tym tendencjom do

* Dyskusja pod hasłem „genealogia podziałów” odbyła się w siedzibie redakcji latem 2018 roku z udziałem zaproszonych gości, którzy na wstępie sformułowali swoje stanowiska. Byli to: Andrzej Friszke ([A.F.] Instytut Studiów Politycznych PAN), Mirosława Grabowska ([M.G.] CBOS, Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego), Andrzej Leder ([A.L.] Instytut Filozofii i Socjologii PAN), Michał Łuczewski ([M.Ł.] Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego), Antoni Z. Kamiński ([A.Z.K.] Instytut Studiów Politycznych PAN), Jan Sowa ([J.S.] kulturoznawca, związany z Uniwersytetem Jagiellońskim), Mirosława Marody ([M.M.] Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego). „Kulturę i Społeczeństwo” reprezentowali: Michał Kotnarowski ([M.K.] Instytut Studiów Politycznych PAN), Grażyna Kubica ([G.K.] Instytut Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Barbara Pasamonik ([B.P.] Instytut Socjologii Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej), Andrzej Piotrowski ([A.P.] Instytut Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego, redaktor naczelny „KiS”).

różnicowania się kulturowych form życia towarzyszą natężające się, rosnące podziały o charakterze polaryzującym. Dałoby się wskazać trzy konteksty.

W najszerszym kontekście można przywołać dychotomię w rozmaitych odmianach dyskursu — naukowego, publicznego, politycznego — na temat polaryzacji w warunkach późnego kapitalizmu, którą ujmuje się w formie binarnego podziału na *losers* i *wINNERS* — tych, którzy przegrywają i którzy wygrywają. Także w kontekście węższym, europejskim, na wiele sposobów powiązany z procesem globalizacji, w opozycji do projektów integracyjnych pojawia się wiele podziałów związanych z kryzysem modelu i polityki wielokulturowości, z konsekwencjami procesów migracyjnych i odradzaniem się tendencji nacjonalistycznych. No i wreszcie, po trzecie, w procesie transformacji społeczeństwa polskiego — ten proces jest nieuchronnie osadzony i w ramach europejskich, i globalnych — także mamy do czynienia z upowszechnianiem się spolaryzowanych kategorii, co wskazuje wręcz, jak wielu twierdzi, na poczucie rozpadu społeczeństwa i jego kulturowych form życia na dwa odrębne i opozycyjne wobec siebie światy, które w tej dwoistości tracą normatywne i symboliczne podstawy wspólnoty. „Polska liberalna” i „Polska solidarna” mogłyby być paradygmatycznym przykładem takiego właśnie binarnego, spolaryzowanego podziału.

Ponieważ obecnie mamy do czynienia z przenikaniem się, gęstym splotem czynników i mechanizmów powodujących we wszystkich wskazanych kontekstach tendencje polaryzacyjne, nie chcieliśmy ukierunkowywać nadmiernie tej dyskusji. Wskażę jedynie kwestie, które nas najbardziej interesują.

Jako pierwszy przedmiot dyskusji — niejako jej oś — proponujemy strukturalne i historyczne uwarunkowania współczesnego natężenia tendencji polaryzacyjnych. Przyjmujemy, że kwestie dwoistości, podziałów binarnych, pojawiają się w rozmaitych epokach, w rozmaitych społeczeństwach na wiele różnych sposobów, ale współcześnie — jeśli Państwo się zgodzicie z taką tezą — okazuje się, że tendencje polaryzacyjne, tendencje do binarnego kategoryzowania nasilają się, paradoksalnie, nasilają się wraz z falą rozmaitych ponowoczesnych form kulturowego zróżnicowania, splotów i sprzężeń między rozmaitymi zjawiskami, sprzężeń, które są właściwościami procesu globalizacji.

Druga kwestia, którą proponujemy uczynić osią dyskusji, to zróżnicowanie i podobieństwo form przejawiania się tych binaryzmów czy dyskursów polaryzacyjnych, kategorii polaryzacyjnych w rozmaitych kontekstach. Mam na myśli zwłaszcza te trzy konteksty — światowy, europejski, czyli kontynentalny związany z projektem integracyjnym, i polski.

Trzeci punkt to rola dyskursu politycznego i publicznego w artykulacji tych podziałów, zwłaszcza w relacji do czynników o charakterze ekonomicznym. Mam na myśli taki oto problem: Niektórzy powiadają, że tendencja do polaryzacji i mechanizm polaryzacji są związane przede wszystkim z właściwościami dyskursu politycznego, publicznego, co oczywiście przenosi się na wiele innych rozmaitych form dyskursowego wyrazu opinii i przekonań, ale niekoniecznie dotyczy to w taki sam sposób tego, co byśmy nazwali realnością czy

rzeczywistością socjologiczną. Jest to dość często pojawiający się wątek — co należy do sfery „produkcji”, by tak rzec, konstrukcji dyskursowych, a co jest osadzone głęboko, niezależnie od wyrazu ekspresji o charakterze politycznym, w rzeczywistości, w realności socjologicznej. Krótko mówiąc, w jakim stopniu te binaryzmy, kategoryzacje polaryzujące są właściwością sposobów mówienia, budowania obrazów, a w jakim należą do sfery „twardych faktów”, by tak rzec, socjologicznych czy społecznych.

Czwarty punkt to pytanie o sposoby adaptacji zbiorowości poddanych procesom polaryzacyjnym do ich przebiegu i konsekwencji. Czy można byłoby tutaj przywołać jakieś obserwacje i zaryzykować wnioski?

I wreszcie pytanie piąte — może najbardziej kontrowersyjne z punktu widzenia tego, co się w teorii socjologicznej na ten temat pisze — o relacje między aspektem dezintegracyjnym, konsekwencjami dezintegracyjnymi konfliktu społecznego, o takim właśnie binarnym, spolaryzowanym charakterze, a jego potencjałem morfogenetycznym. W gruncie rzeczy można by tu było sięgnąć nawet do Simmla czy Dahrendorfa, chcąc pokazać, że konflikt ma właściwości formatwórcze, jest nie tylko rozpadem i procesem wiodącym do chaosu i dezintegracji, ale że ma też potencjał morfogenetyczny, niesie ze sobą zalążki nowych form społecznych. Gdyby jednak odwołać się do stanowiska przeciwnego takiemu Simmlowskiemu podejściu, na przykład do stanowiska Gregory’ego Batesona, cybernetyka zajmującego się procesami schizmogenicznymi, to można by pokazać, że w socjologii, w naukach o kulturze istnieją także takie stanowiska, w myśl których procesom polaryzacyjnym, dyskursom polaryzacyjnym przypisuje się znaczenie przede wszystkim właśnie dezintegracyjne, że — innymi słowy — jeśli dostatecznie długo i konsekwentnie te binaryzmy polaryzacji się pogłębiają, to nieuchronnie następuje blokada procesów komunikacyjnych grożąca zerwaniem interakcji i rozpadem wspólnot komunikacyjnych. Proponujemy więc, aby przedmiotem dyskusji stały się:

— kwestia strukturalnych, historycznych uwarunkowań natężenia podziałów, jeśli się Państwo zgodzicie, że tu chodzi o natężenie,

— zróżnicowanie i podobieństwo form przejawiania się owych binaryzmów w rozmaitych kontekstach,

— dyskurs publiczny i polityczny a realność społeczna,

— sposoby adaptacji zbiorowości poddanych tym procesom,

— potencjalny, morfogenetyczny, formatwórczy efekt, rezultat procesów, które polegają na polaryzacji.

Zapraszam do dyskusji.

Jan Sowa: Może ja zacznę. Dla mnie odrobinę zaskakująca jest ta diagnoza, chociaż symptomatyczna — chodzi o poczucie rozpadu społeczeństwa obserwowane w tym momencie. Wydaje się, że takie tezy często są stawiane na tle pewnej fantazmatycznej jedności, która kiedyś istniała albo powinna była istnieć i jest właśnie jakimś domniemanym tłem. Tymczasem po zastanowieniu

— trochę pamiętam tzw. minioną epokę, mój dom rodzinny był bardzo upolityczniony — muszę stwierdzić, że antagonizm między „partyjniakami” a „opozycją” nie był wcale słaby, miał też charakter binarny, z tego rodzaju sytuacjami mamy do czynienia raczej nagminnie czy rutynowo. Symptomatyczne w tej diagnozie jest, moim zdaniem, że po osiemdziesiątym dziewiątym roku, równoległe, zarówno z dyskursu teoretycznego, jak i z dyskusji publicznej, zniknęły najróżniejsze figury, które pozwalają opisywać podziały i antagonizmy. Przemysław Pluciński, socjolog z Poznania, opisał to dość dobrze. W socjologii właściwie zniknęło pojęcie „klasa”, rozumiane antagonistycznie i z odwołaniem do pewnych czynników materialnych. Zostaliśmy właściwie tylko z zapożyczonymi ze Stanów Zjednoczonych teoriami stratyfikacji. Jednocześnie w dyskursie publicznym dwie opcje polityczne, liberalna i konserwatywna, zaproponowały dwie figury jedności, które miały przykrywać wszelkie podziały. W przypadku strony liberalnej jest to społeczeństwo obywatelskie, w przypadku strony konserwatywnej — naród. I z obu tych punktów widzenia wyłoniły się radykalne antagonizmy, tarcia, na przykład to, co jest opisywane jako „dwa narody”. Nie powinno to mieć miejsca, jesteśmy jednym narodem, jednym społeczeństwem itd. — takie różnicowanie się jest oceniane negatywnie. Sądzę zatem, że to jest takie dyskursywne tło, na którym nagle zauważamy, że istnieją klasy społeczne, że społeczeństwo jest złożone z grup, które są nastawione do siebie antagonistycznie, często radykalnie antagonistycznie. Zupełnie nie widzę więc w tym elemencie zaskoczenia, czy jakiejś nowości, do której powinniśmy się odnieść. Zgadzam się natomiast, że dość często pojawia się taka binarna forma ujmowania podziałów w społeczeństwie i staje się to coraz bardziej popularne, ale nie odpowiada rzeczywistości społecznej, realności. Jest to efekt najróżniejszych dyskursów, pewnego dyskursu politycznego, sposobu uprawiania polityki. Na przykład w Stanach Zjednoczonych mamy system dwupartyjny, dwójkę kandydatów w wyborach prezydenckich, ale nie jest to efekt naturalnej dynamiki społecznej, lecz tego, w jaki sposób ten system jest skonstruowany. Debata prezydencka w Stanach Zjednoczonych jest to prywatne wydarzenie, organizowane przez prywatną firmę, która może na to wydarzenie zaprosić bądź nie zaprosić kogo chce, zarówno spośród kandydatów, jak i publiczności. Na przykład Jill Stein, kandydatka Zielonych w wyborach prezydenckich, miała straszliwe problemy, żeby gdziekolwiek się przebić z wiadomością, że w ogóle kandyduje. Ten dualizm jest produkowany, nie jest wynikiem rzeczywistej dynamiki.

Ponadto taka dyskursywna produkcja dualizmu to, moim zdaniem, w dużej mierze efekt tego, że dla mediów i dla dziennikarzy jest to wygodna forma ujmowania rzeczywistości, wygodna na dwóch poziomach. Po pierwsze, na poziomie czegoś w rodzaju wzorów kultury mamy zaszczerpione przekonanie, że świat to konfrontacja dwóch sił, najlepiej dobra i zła. Bardzo łatwo i szybko nam się myśli w tych kategoriach. Przedstawienie czegoś jako antagonistycznego sporu dwóch ośrodków jest po prostu łatwo w mediach „sprzedać” i znarratywizować. Co więcej, w mediach pracuje się dziś bardzo szybko, a pensje nie

są szczególnie wygórowane, w związku z czym trafiają tam ludzie z takimi zasobami, jakimi dysponują, czasowymi, a także intelektualnymi, często nawet nie mają czasu, żeby się douczyć czy doczytać. Bardzo wygodnie jest powiedzieć: to ci spierają się z tamtymi, mamy takie dwa obozy, i to układa się w ładną opowieść, taką, która przykrywa bardziej skomplikowaną sytuację gry zróżnicowanych sił społecznych.

Michał Łuczewski: Może na początek ogólniejsze tło historyczne, bo wizja „dwóch Polsk” zawsze była uwarunkowana historycznie. U nas ma ona tak długą tradycję — jako pierwszy pisał o tym Jerzy Szacki — jak długo trwa ideologia narodowa. Polska zawsze była dzielona na „dwie Polski”. Już u Adama Mickiewicza możemy odnaleźć taki topos, później nieustannie on powraca. Możemy zadać pytanie, skąd to się bierze. Kiedy społeczeństwo zaczyna być postrzegane przez pryzmat binarnego podziału? Wydaje się, że dobrze byłoby pójść za teorią postkolonialną, która pokazuje — powołam się tu na badania Tomasza Zaryckiego — że różne kapitały odgrywają różną rolę jako zasada jedności społecznej. Jedność nie jest czymś abstrakcyjnym, zawsze jest na coś oparta. W krajach centrów zwykle jest budowana na kapitale ekonomicznym, na sile instytucji ekonomicznych, tak jak na Zachodzie, gdzie rynek był machiną, która ludzi organizowała. Dobrym tego przykładem są Stany Zjednoczone — każdy mógł tam spodziewać się, że wprowadzony w rynek prędzej czy później dostąpi udziału w *American dream*, a jeśli nie on, to następne pokolenie. W centrach mamy do czynienia również z dominacją kapitału politycznego, który staje się źródłem jedności. Tak jest przede wszystkim w kulturach Wschodu, które reprezentują Rosja i Chiny. W krajach peryferyjnych, gdzie zarówno instytucje ekonomiczne, jak i polityczne są słabe, źródłem jedności nie może być ani kapitał ekonomiczny, ani polityczny. Z taką sytuacją mamy do czynienia w Polsce, która znajduje się między centrami na Wschodzie i Zachodzie. Tutaj podstawowym rodzajem kapitału, który ma nadać jedność społeczną, staje się kapitał kulturowy, który na samym końcu odwołuje się do moralności i religii. Paradoksalnie jednak kultura z konieczności staje się jednocześnie zasadą podziału. Tak należy rozumieć topos „dwóch Polsk”, który ukazuje pozytywną wizję polskiej kultury (opartej na wyższej moralności i głębszej religijności) w odróżnieniu od negatywnej wizji polskiej kultury, którą należy wyeliminować. Taki mobilizujący dyskurs, odwołujący się do kultury, moralności i religii, jest jednocześnie dyskursem wykluczającym. Pokazuje, że to właśnie kultura, moralność i religia były tym, co w Polsce zarówno jednoczyło, jak i dzieliło. Naród oparty na kulturze przypomina ruch społeczny, który dąży do powszechnej mobilizacji poprzez wykluczenie.

Może wydawać się, że to oznaka polskiego zapóźnienia i peryferyjnego statusu. W istocie jednak to zapóźnienie i peryferyjny status staje się awangardą. Pokazuje nam bowiem, w którą stronę będzie zmierzał świat. Silny podział kulturowy stawia nas na czele globalizacyjnych przemian, bo pokazuje prymat kultury (moralności, religii) nad innymi zasadami jedności, które w Europie

i w ogóle na świecie coraz bardziej się wyczerpują. Rynek staje się coraz mniej wspólnototwórczy, nie rozładowuje już napięć społecznych, lecz je eskaluje poprzez tworzenie coraz większych nierówności. Podobnie polityka staje się coraz mniej sferą konsensu, a coraz bardziej walki. Dobrym przykładem są Niemcy. Sądziłyśmy, że istnieją tam silne instytucje polityczne, które łagodzą konflikty. Tam mogła powstać koalicja między partiami znajdującymi się na antypodach: CDU i SPD, a w Polsce niemożliwa była koalicja między postsolidarnościowymi, bliskimi sobie partiami: PO a PiS. Dziś jednak ta niemiecka silna machina polityczna zacięła się i w związku z kryzysem imigracyjnym pojawia się radykalizacja niemieckiej sfery publicznej. Świat idzie drogą Polski. Następuje globalne „rozbiecie dzielnicowe”, a w tym chaosie społecznym kultura, moralność i religia stają się coraz ważniejszym elementem spajającym.

A teraz kilka słów o naukowych analizach „dwóch Polsk” czy szerzej: „dwóch narodów”, bo takiej kategorii również używa się na Zachodzie od czasów Benjamina Disrealego. Istnieje niebezpieczeństwo, że gdy będziemy mówili o podziale społecznym, to w pewnym sensie będziemy ten podział na poziomie naukowym reprodukowali. W polskiej nauce jest trochę tak, że poszczególnych naukowców da się przyporządkować do poszczególnych „plemion”. Uważam, że jest to zjawisko negatywne, pokazuje słabość polskiego pola naukowego, które jest podporządkowane tych podziałom, nawet nie politycznym, lecz moralnym — naukowcy często czują się w obowiązku pokazać, po której są stronie. Wydaje się, że to jest błędny sposób wychodzenia z podziału. Gorzej — często naukowcy stosują takie narzędzia intelektualne, rzekomo neutralne, które tak naprawdę ten podział utrwalają. W ten sposób autorytet nauki wolnej od wartości jest wykorzystywany na rzecz wartości politycznych. Podam dwa przykłady zza oceanu. Najpierw przykład bardziej radykalny: George Lakoff, wybitny lingwista, mówi, że podział na konserwatystów i liberałów wywodzi się z wizji — można powiedzieć, psychoanalitycznej — „ojca”. Z jednej strony, mamy ojca wymagającego, najważniejsze dla niego jest przestrzeganie reguł, a z drugiej strony — ojca empatycznego, współczującego, dla którego najważniejszy jest indywidualny rozwój. Konserwatyści są ojcami wymagającymi, a liberałowie — empatycznymi. Taka zgrubna naukowa typologia utrwała tylko podział polityczny, ustawiając konserwatystów po stronie autorytarnej. Nie trudno też zgadnąć, po której stronie jest Lakoff. Przykład drugi, trochę bardziej wyrafinowany. Jonathan Haidt próbuje wyjść poza walkę między konserwatystami a liberałami, przyporządkowując ich różnym wartościom. Twierdzi, że dla konserwatystów najważniejsze są dwie wartości: porządek i świętość, a dla liberałów: wolność. Wydaje się, że to nie tyle pokazuje naturę tego konfliktu, ile go przykrywa. Bo czy konserwatyści są przeciwko wolności, a liberałowie przeciwko porządkowi czy świętości? Oni po prostu inaczej każdą z tych wartości definiują.

Uproszczenia Lakoffa i Haidta biorą się stąd, że przyjmują oni indywidualną, psychologiczną perspektywę, redukując skomplikowane procesy społeczne

i ideowe do wizji ojca czy deklarowanych wartości. Pokazuje to tylko, że perspektywa psychologiczna jest szczególnie podatna na upolitycznienie. Dlatego chciałem zaproponować takie myślenie o konflikcie, w który kontekst społeczny i dychotomia społeczna są brane pod uwagę nie poprzez pryzmat dychotomii konceptualnej. Strategią taką jest odwołanie się do teorii kapitałów. Teraz chciałbym zaproponować jeszcze jedną strategię i odwołać się do trzech zasad budowania jedności społecznej. Pierwsza zasada to prawo, reguły, tabu, które najczęściej są wprowadzane przez władzę zwierzchnią i przestrzegane przez społeczeństwo. Druga zasada to paradoksalny sposób wprowadzania jedności oparty na transgresji, na łamaniu tego prawa, na poluzowywaniu reguł, znoszeniu tabu. Można to pokazać na przykładzie konfliktu wokół imigrantów — z jednej strony mamy egzekwowanie surowego prawa, czemu na poziomie symbolicznym odpowiada budowanie murów, a z drugiej strony — George Soros będzie mówił, że trzeba przyjąć jeszcze więcej imigrantów, żeby zażegnać kryzys imigrancki. Budowanie i burzenie murów mają ten sam cel: jedność społeczną. I trzeci rodzaj odpowiedzi — bardziej w duchu papieża Franciszka — nie chodzi tutaj o transgresję, czyli przyjmowanie większej liczby osób, bo to będzie zaostrzało problem, nie chodzi też — hasłowo — o budowanie murów. Chodzi o taką zapomnianą socjologiczną kategorię, której dzisiaj już nie używamy, a która kiedyś występowała u klasyków socjologii, chociażby u Pitirima Sorokina. Chodzi o kategorię miłości. To jest ta trzecia forma budowania jedności społecznej, poza prawem i poza transgresją.

Andrzej Leder: Kiedy słyszę o miłości jako kategorii życia publicznego, przypomina mi się zdanie, wypowiedziane przez Hannah Arendt w *O rewolucji*, dotyczące dobroci: „...jest silna, silniejsza nawet niż nieprawość, lecz dzieli ona z «elementarnym złem» ową pierwotną gwałtowność, nieodłączną od wszelkiej siły, a zgubną dla wszystkich form organizacji politycznej”. Chciałbym jednak zacząć od czegoś innego. Otóż sądzę, iż żyjemy w okresie fascynującym. W dużym stopniu dlatego, że na bardzo wielu poziomach następuje przebudowa tego, co organizuje społeczeństwo; jego praktyki, hierarchie wartości, podziały i stratyfikacje. I oczywiście nie dotyczy to tylko Polski. Przebudowa dotyczy właściwie wszystkich poziomów życia; tego co najbardziej abstrakcyjne, struktur dyskursywnych, sposobów rozumienia i nazywania, a jednocześnie — i w związku z tym — sytuacji politycznej, struktur społecznych i oczywiście porządków ekonomicznych. Na dodatek wszystko to dzieje się w wymiarze globalnym, rzutując na życie konkretnych społeczności: jakiegoś miasta, regionu albo kraju. Uchwycenie tych równoległe zachodzących procesów jest trudne, a jednocześnie stanowi fascynujące wyzwanie intelektualne.

W tym kontekście chciałbym podjąć jeden wątek — genealogii tego podziału politycznego, który — jak sądzę — pojawia się teraz w Polsce. Skoncentruję się na tym, jak się rekonfigurowały dyskursy i jednocześnie pozycje polityczne, aby dojść do aktualnej sytuacji, która jest w moim odczuciu sytuacją dezinte-

gracji, rozpadu oczywistych podziałów, jakie dotychczas funkcjonowały. Mówię genealogia, ponieważ interesuje mnie proces rekonfigurowania się postaw i poglądów. Trochę na przekór głosom poprzedników powiedziałbym przede wszystkim, że konflikt społeczny jest naturalnym stanem polityczności. Wyraża on sprzeczne interesy i światopoglądy, różne wizje przeszłości i przyszłości, które cechują różne grupy, a które w nowożytności zostały dopuszczone do głosu. Od czasu rewolucji francuskiej społeczeństwa Zachodu zwykle były bardzo silnie podzielone światopoglądowo i kulturowo, instytucje polityczne zaś pełniły funkcję zapośredniczenia bardzo gwałtownych konfliktów. Wydaje mi się, że wyłonienie się dzisiaj tego rodzaju pola konfliktów w Polsce nie jest niczym nadzwyczajnym ani szczególnym, stanowi wyraz dojrzewania politycznego. Choć, jak każdy okres dojrzewania, niesie ze sobą poważne niebezpieczeństwa.

Dzisiejszego podziału nie można porównać do tego z lat PRL-u, podziału opozycja–partia, ponieważ tamta sytuacja była politycznie łatwa. Mam na myśli to, że od pewnego momentu PRL to była właściwie autorytarna dyktatura, która — na pewno już w latach osiemdziesiątych — nie miała żadnej legitymizacji. A wszyscy inni, z jakąś legitymizacją, mieścili się po drugiej stronie barykady. Taka sytuacja powstała w wyniku z sojuszu, jaki w latach siedemdziesiątych ukształtował się między liberałami — wcześniej byli oni lewicą, ale przestali nią być — a konserwatystami, powiedziałbym, „posoborowymi”. Myślę oczywiście o dwugłosie książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog* z 1976 roku i pracy *Polski kształt dialogu* Józefa Tischnera z 1979. Polityczną stronę w tym sojuszu projektowali liberałowie, moralność publiczną — Kościół i konserwatyści. Na przykład — to właśnie pod koniec lat siedemdziesiątych w dyskursie publicznym na temat aborcji pojawiła się retoryka „dziecka poczętego”, której oficjalnie używał Kościół, a którą liberałowie — wbrew temu, co ideowo przyjmowali — zaczęli traktować jako dopuszczalną i oczywistą. Sojusz liberałów i konserwatystów to była pierwsza rekonfiguracja; wcześniejsza lewica laicka, z lat sześćdziesiątych, już wtedy dysydencka wobec komunizmu, była też w opozycji wobec konserwatyzmu, nawet tego łagodnego. Ale w wyniku wydarzeń 1968 i 1970 roku zaproponowała ona konserwatystom sojusz, a konserwatyści to przyjęli. Tak powstał ten konsens liberalno-konserwatywny, który realnie rządził Polską mniej więcej do 2010 roku. Jego istotną rolą było wytłumienie rzeczywistego konfliktu politycznego. Polegało to w gruncie rzeczy na rozpisaniu wszystkich opinii politycznych między liberałów, takich, których już od lat dziewięćdziesiątych mniej lub bardziej reprezentuje „Gazeta Wyborcza”, i konserwatystów, których uosobieniem było środowisko Mazowieckiego, środowisko „Więzi”, „Znaku”, „Tygodnika Powszechnego”, a za którym stała część episkopatu. Wszystko, co wychodziło poza ten podział, było marginalizowane. To zaś uniemożliwiało w Polsce realny konflikt polityczny. Ilustracją tej tezy jest los Leppera, przedstawiciela autentycznej polityczności spoza „konsensu”, zmarginalizowanego i zniszczonego. W czasach PRL to ograniczenie konfliktu

pełniło rzeczywistą funkcję — mobilizacji przeciwko autorytarnej dyktaturze, potem umożliwiło transformację, ale miało też bardzo istotne i niedobre konsekwencje.

Powtórzę, konsens polegał na tym, że projekt *stricte* polityczny III RP był tworzony przez liberałów, ale projekt kulturowy był firmowany przez konserwatyzm. Począwszy od wprowadzenia przez Tadeusza Mazowieckiego religii do szkół, prawie bez słowa dyskusji. Dość niedawnym, groteskowym i symptomatycznym efektem tego konsensu była myśl — która poza Polską, myślę, z trudem mogłaby zostać sformułowana — że można utożsamiać Zagładę z aborcją. Fakt, że można przeprowadzić tego rodzaju rozumowanie i że „Gazeta Wyborcza” — dziennik liberalny — drukuje artykuł je wypowiadający, świadczy o tym, jak bardzo debata publiczna została zdominowana przez głęboko konserwatywne imaginarium.

M.Ł.: Dlatego w tekście *Nowoczesna Zagłada*, w „Gazecie Wyborczej” w 2013 roku, powołałem się na Zygmunta Baumana.

A.L.: *Nowoczesność i Zagłada* jest ważną książką, chociaż niekoniecznie musimy się z nią zgadzać, natomiast przeniesienie i utożsamienie rozumowania Baumana na problem aborcji jest — moim zdaniem — moralnie niedopuszczalne. Ale nie chcę rozwijać tej dyskusji, dla mnie to jest raczej przykład tego, że pewien rodzaj wrażliwości i dyskursu — głęboko konserwatywny — stał się w pełni hegemoniczny. W pewnym momencie liberałowie przestali być konserwatystom potrzebni, ci raczej zaczęli niepokoić się efektami laicyzacji i modernizacji społeczeństwa polskiego. Między 2005 a 2010 rokiem dokonali więc zwrotu w stronę nacjonalistów. Ci ostatni, słabi dopóki po 1989 roku w polityce dominowało pokolenie pamiętające nacjonalistyczny charakter PRL-owskiej dyktatury, wraz ze zmianą pokoleniową rośli w siłę. I weszli w miejsce skompromitowanej przez SLD lewicy. Nastąpiła zmiana konfiguracji politycznej, konserwatyzm w sojuszu z nacjonalizmem nagle stał się dużo silniejszy i zepchnął liberalizm do narożnika.

Takie rekonfiguracje — mimo że dla mnie osobiście raczej niesympatyczne — do jakiegoś stopnia wydają się świadectwem tego, że polskie społeczeństwo dojrzewa politycznie, że została złamana pewna formuła, która uniemożliwiała ekspresję rzeczywistych konfliktów. Inna sprawa, że — jak wiadomo z historii — często społeczeństwa, które przechodzą etap pojawiania się konfliktu, rozwiązują go poprzez wojnę. Wojnę kulturową do jakiegoś stopnia już mamy, czy dojdzie do wojny w sensie fizycznym — tego nie wiemy. Wojna ma to do siebie — i tutaj odwołam się do klasyka, powszechnie nielubianego Carla Schmitta — że polaryzuje dwubiegunowo, to znaczy że stawia się totemy, wymazuje je krwią i grupuje wokół nich plemiona, łączące się w nienawiści wobec wrogów. Rolą instytucji politycznych, ale też ośrodków intelektualnych, *public intellectuals*, mediów — tych, którzy regulują przestrzeń debaty publicznej — jest stwo-

zenie takiej sytuacji, w której możliwa jest polityczna ekspresja konfliktów, ale która nie ulega jednak degeneracji w stronę użycia fizycznej przemocy. Sądzę, że takie jest dziś nasze kluczowe zadanie.

Mirosława Grabowska: Ja tę genealogię podziałów Polski widziałabym trochę inaczej, są one zakorzenione w komunizmie i opozycji antykomunistycznej lub akomunistycznej. Uległo to przekształceniu w kompromisie Okrągłego Stołu, ale po 1989 roku odtworzyło się jako coś, co nazywam „podziałem postkomunistycznym”, który — powiedziałabym technicznie, żeby skrócić wywód — z lekka się skorelował ze strukturą klasową czy strukturą społeczną, w takim brytyjskim rozumieniu, klasowo-warstwową. Jest to podział na tych, którzy na tej transformacji wygrali i przegrali. Pan uniknął sfery ekonomicznej w ogóle, prawda?

A.L.: Mówiąc na początku, że to jest wszystko tak skomplikowane, że nie można uwzględnić wszystkich wymiarów.

M.G.: To prawda. Po prostu tak się zdarzyło — nie ma w tym żadnego automatyzmu ani żadnej konieczności — że ci, którzy byli po stronie postsolidarnościowej, to w większości nie byli „wygrani”, a ci, którzy byli po stronie postkomunistycznej, to byli w większości „nieprzegran”, najłagodniej rzecz ujmując. Na podstawie danych wyborczych można powiedzieć, że siły socjalistyczno-liberalne, mniejsza z tym, jakie to ma umocowanie w strukturze partyjnej, na razie są *winner*s, a ci, którzy znaleźli się po stronie, powiedzmy, postsolidarnościowej, są w dużej mierze „niewygrani”. Trzeba zaznaczyć, że nigdy nie jest tak, że na liberałów głosują sami zamożni, sami „wygrani”, sami wysoko wykształceni mieszkańcy wielkich miast, a na tych drugich wręcz odwrotnie. Każda partia ma swoją inteligencję, swoich przedsiębiorców itd. Jednak tendencja, że na ugrupowania postsolidarnościowe głosują „niewygrani”, jest zauważalna, tak to się historycznie ułożyło. Do tego dochodzą różnicowania ideowe i światopoglądowe. Realnych różnic upatrywałabym w sferze ideowo-swiatopoglądowej, czyli mówiąc krótko w religijności, stosunku do Kościoła i całego kompleksu postaw i znaczeń z tym związanych. Są to zasadnicze, głębokie różnice kulturowe, światopoglądowe, ideowe, istniejące w rzeczywistości, w jakiejś mierze, niekoniecznie w całości, wyrażane przez dyskursy publiczne. Dodały się one do tej struktury historyczno-klasowo-warstwowej. Stanowi to pewien „kościół”, który jest obudowywany przez inne różnicowania, stosunek do innych kwestii czy wydarzeń. Takim wydarzeniem jest na przykład katastrofa smoleńska. Niektórzy uważają, że zrobiła się z tego „religia smoleńska” — nie jest to religia, raczej zbiór przekonań, u niektórych związane z tymi przekonaniem zachowania (np. uczestniczenie w tzw. miesięcznicach). Ale niezależnie od interpretacji, stosunek do katastrofy smoleńskiej w specyficzny sposób „osadził się” na tej historyczno-społeczno-politycznej strukturze.

Dyskurs na pewno współtworzy te podziały czy może je uwyrażnia. W danych empirycznych widać, co kto ogląda i co kto...

M.M.: ...czyta...

M.G.: ...już nie czyta. Co kto ogląda i czego słucha. I rzeczywiście, to się bardzo łączy zarówno z pozycją społeczną, jak i z religijnością oraz preferencjami politycznymi, partyjnymi. Zaostrzam trochę ten obraz, aby stał się wyraźniejszy.

Moim zdaniem, w genealogii obecnych podziałów politycznych istotny jest fakt, że podział postkomunistyczny skończył się w 2005 roku, kiedy PiS nie zawarł koalicji z Platformą. Wtedy ten historyczny podział zaczął się przekształcać w podział zgodny ze strukturą, z pozycjami w strukturze społecznej, z postawami ideowymi i światopoglądowymi. Do tego dochodziły kolejne wydarzenia, jak już mówiłam, katastrofa smoleńska, ale nie tylko, na przykład reakcja na tzw. czarne protesty. Kolejne wydarzenia odkładają się na tej już wyartykułowanej, istniejącej strukturze.

J.S.: *Ad vocem*, czy mogę zapytać, dlaczego ten moment, akurat 2005, jest taki istotny?

M.G.: Z dwóch powodów. Po pierwsze, w kadencji 2001–2005 załamała się strona postkomunistyczna. W skrócie: „afery Rywina”, spadek poparcia w sondażach, podział SLD na rozmaite podmioty polityczne — SLD i SDPL. Po drugie, strona postsolidarnościowa, która czasem się łączyła, na przykład w AWS, a czasem była zróżnicowana, zamiast utworzyć PO-PISową podzieliła się na dwie, zwalczające się części. Widzę tu analogię do sytuacji w Irlandii, kiedy ruch niepodległościowy po traktacie z Wielką Brytanią podzielił się i wygenerował dwie partie, które zajadły się zwalczały, co trwa do dzisiaj, mimo że korzenie mają wspólne i naprawdę trudno dociec, która z nich była bardziej zasłużona dla sprawy niepodległości Irlandii. Wydarzenie historyczne, jakim było podpisanie traktatu z Wielką Brytanią (1921/1922), rozszczępiło obóz niepodległościowy na dwie części — czy na dwa plemiona, które się zwalczały dużo bardziej zajadło niż u nas PiS i PO. Tam były ofiary, w wojnie domowej zginęło kilka tysięcy osób. Ktoś z państwa tutaj wymienił Polskę liberalną i Polskę solidarną. Ja kiedyś nie lubiłam tej etykiety, ponieważ Polska liberalna, kiedy było trzeba, też była solidarna.

A.P.: Tak, ale to było zaprojektowane jako dysjunkcja — albo to, albo to.

M.G.: No właśnie. Chcę powiedzieć, że to, co się stało w tak zwanym międzyczasie, czyli od 2005 roku, to jest trochę tak, jakby siły polityczne dostosowały się do tej dysjunkcji Lecha Kaczyńskiego. To znaczy „liberalni” nie dbali

o swój solidarnościowy i postsolidarnościowy rodowód, którego nie pielęgnowali, nie „uprawiali” go, a zagarnęli go, zmonopolizowali ci „solidarni”.

Antoni Z. Kamiński: Spory światopoglądowe, które nurtują polityczne i intelektualne elity w Polsce, przypominają wiry w rzece. Wir jest najmocniejszy na górze: im niżej, tym jest słabszy. Pływak, który da się wirowi wciągnąć pod powierzchnię, bez wysiłku z niego wypłynie. Rozmowy o sprawach publicznych z ludźmi ze środowiska elit wielkomiejskich są możliwe tylko wtedy, gdy rozmówcom się przytakuje. Nawet delikatne wyrażenie dystansu wobec ich sądów kończy dyskusję. Jeśli się zejdzie z elitarnego szczytu, to odkrywa się, że poniżej znajdują się ludzie gotowi kulturalnie, spokojnie rozmawiać także w przypadku różnicy poglądów.

Oczywiście nie jest tak, by wojny na górze nie pozostawały bez wpływu na to, co dzieje się niżej. Niedawno czytałem wywiad z prezydent Łodzi, Hanną Zdanowską. Mówiła, że współpraca z radnymi PiS w samorządzie łódzkim przebiegała gładko do czasu, kiedy zaczęli po dyrektywy jeździć do Warszawy. Koncepcja tkwiąca u podstaw reformy samorządowej zakładała hierarchiczny podział pracy, w którego ramach szczebel wyższy pozostawiałby sprawy dotyczące szczebla niższego w jego gestii. Ta zasada pomocniczości od lat jest na różne sposoby gwałcona. Na ołtarzu partykularnych interesów kierownictw partii politycznych poświęcone zostają interesy społeczności lokalnych. Tym samym zawirowania na górze przenoszą się na niższe szczeble organizacji państwa.

Na poziomie lokalnym ludzie łatwiej porozumiewają się, bo decyzje władz samorządowych dotyczą ich bezpośrednio, silniej odczuwają współzależność, zatem i rozliczenie osób publicznych jest relatywnie bardziej skuteczne mimo oczywistych braków ustroju samorządowego. Rozliczalność władz centralnych jest trudniejsza, bo konsekwencje ich decyzji często ujawniają się po wielu latach. Inną, poważniejszą przyczyną są, ograniczające przejrzystość mechanizmów decyzyjnych, cechy ustroju politycznego, jaki rozwinął się w Polsce po 1989 roku. Realizowana przez PiS „dobra zmiana” jest możliwa wskutek słabości instytucji politycznych, która ma swe korzenie w zaniechaniach i decyzjach podjętych u początków transformacji ustrojowej. „Wojna na górze”, w różnych wydaniach i w zmiennym natężeniu, towarzyszy nam od blisko trzydziestu lat. Kłótnie na szczytach środowisk polityczno-intelektualnych przybierają niekiedy formy bardzo intensywne, również pod względem językowym. Nie jest to też typowa dla ładu demokratycznego konkurencja idei i partii politycznych. Mój niepokój wzbudza więc nie stan społeczeństwa, lecz raczej postawy ludzi zajmujących najwyższe pozycje w hierarchiach zawodowych i politycznych.

O ile odpowiedzialnością za pierwszą „wojnę na górze” obarczono na ogół Lecha Wałęsę, o tyle winę za wojnę obecną przypisuje się społeczeństwu, które „źle wybrało”. Po każdym wyborach strona przegrana — posługując ustami swoich przywódców i piórami zaprzyjaźnionych dziennikarzy — przyczyn po-

rażki upatruje w „niedojrzałości wyborców”. Społeczeństwo stało się dla klasy politycznej i części intelektualistów „chłopcem do bicia” już od 1990 roku.

Niechęć do podejmowania dyskursu na tematy zasadnicze wystąpiła w kręgu elit polityczno-intelektualnych na początku przełomu ustrojowego. Oczywiście, istniał wtedy pluralizm idei, lecz każdy odłam był przekonany o tym, że posiada jedyną prawdę. Weźmy reformę gospodarczą związaną z nazwiskiem Leszka Balcerowicza. Była ona konieczna: Polska była gospodarczym bankrutem i bez programu energicznej przebudowy gospodarczej nie sposób było wyjść z impasu. Była ona też konieczna jako warunek zdobycia zaufania wierzycieli, by doprowadzić do renegocjacji zobowiązań. Z uwagi na to, że Polska była pierwszym krajem pokomunistycznym, w którym po roku 1989 nastąpił wzrost PKB, reforma była sukcesem. Nie wynika z tego jednak, że nie popełniono poważnych błędów. Jednym z największych był sposób rozwiązania problemu PGR. Było też wiele innych, których można było uniknąć. Program Balcerowicza dostał taką ochronę propagandową, że krytyka nawet drugorzędnych decyzji podjętych przez kierownictwo rządu narażała wypowiadającego ją na zarzut bycia wrogiem reform.

Podobnie było z prywatyzacją, która w Polsce była lepiej przeprowadzona niż prawie we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej, o Rosji i Ukrainie nie wspominając. Nie zmienia to mojej oceny, że sposób organizacji i działania Ministerstwa Przekształceń Własnościowych urągał wszelkim zasadom dobrej administracji. Konflikt interesu był tam zjawiskiem nagminnym i ogólnie akceptowanym. Sprzedaż przedsiębiorstw kapitałowi zagranicznemu prowadziła niekiedy do ich natychmiastowej likwidacji przez nowego właściciela, by pozbyć się konkurencji dla ich własnej produkcji (przykłady cukrowni, cementowni). Nie usprawiedliwia tych zaniedbań pilność operacji. Ktokolwiek jednak zwrócił na to uwagę, stawał się wrogiem idei „liberalnej gospodarki”. Uwzględnienie przez rząd uwag krytycznych umożliwiłoby uniknięcie wielu błędów — był to nieuzasadniony koszt reform.

Od tego czasu minęło blisko trzydzieści lat i te same elity polityczno-intelektualne, choć różnej maści ideologicznej, przejawiają podobną wojenną postawę: „kto nie z nami, ten przeciwko nam”. Słowo „symetrysta” jest epitetem zarówno w ustach przedstawicieli opozycji, jak i zwolenników PiS. Osobiście podzielam na przykład opinię, że wymiar sprawiedliwości od dawna wymagał poważnej reformy. Przemawiała za tym zarówno długość postępowań, jak i czasem wątpliwe orzeczenia sądów czy działania prokuratury. Sam byłem świadkiem w sprawie o malwersację — dotyczyła mienia o wartości ok. 8 mln zł. Zeznanie w prokuraturze złożyłem w 2001 roku, w 2005 miała miejsce pierwsza rozprawa; w 2012 — druga; jesienią 2017 trzecia. Wszystkie trzy toczyły się przed tym samym sądem rejonowym Warszawa Śródmieście, zmieniała się tylko osoba sędziego. Sygnały o słabości polskiego wymiaru sprawiedliwości docierały do opinii publicznej od lat, nie powodując żadnej reakcji ze strony kolejnych rządów, nie wywołując protestów elit intelektualnych ani nie rodząc

niepokoju w środowisku prawników, a przynajmniej — na jego szczytach. Z poglądu, że reforma była potrzebna, nie wynika jednak przekonanie, że zmiany wprowadzane w tej dziedzinie przez rząd PiS idą we właściwym kierunku, nie naruszają porządku konstytucyjnego itd.

Zmian domagała się również administracja publiczna. Po reformie wprowadzonej przez rząd Jerzego Buzka, która prosiła się o kontynuację, nastąpił okres regularnego łamania ustawy o służbie publicznej przez rząd Leszka Millera, a dalej — ustawa wprowadzona przez koalicję PiS, LPR i Samoobrony pozbawiła służbę cywilną autonomii, podporządkowując ją bezpośrednio premierowi. W 2008 roku, nową ustawą, rząd PO/PSL przywrócił urząd szefa służby cywilnej, ale umieścił go w ramach administracji KPRM. Postulowana w Konstytucji kompetentna, bezstronna administracja publiczna, wymaga stworzenia odpowiednich podstaw ustrojowych. Rząd PiS, który miał państwo reformować, pod hasłem „dobrej zmiany”, dalej je psuje. Zakłada (i słusznie), że społeczeństwo tego nie zauważy tak długo, jak długo rozwijać się będzie gospodarka, a wraz z nią będą rosły korzyści socjalne. Moment prawdy nastąpi wtedy, kiedy gospodarka wyhamuje, a to jest nieuniknione.

Nieświadomym sojusznikiem polityków, niezależnie od partii, z którą sympatyzują, są wielkomięscy intelektualści, których państwo i jakość rządów nie interesuje. Zajmują się walką z Kościołem, aborcją, zapłodnieniem *in vitro*, małżeństwami homoseksualnymi i prawami gejów. Są sojusznikiem polityków, bo sprawy, o które walczą, nie dotyczą jakości rządzenia. Nie będą więc występować o reformę państwa, która przyniosłaby większą rozliczalność władzy wykonawczej i zwiększyła jakość rządzenia. Nie dostrzegłem, na przykład, by środowisko intelektualistów protestowało w związku z notorycznym ignorowaniem przez rządzących art. 153 Konstytucji, poświęconego korpusowi służby cywilnej.

Dlaczego włączyli się teraz w obronę władzy sądowniczej? Niedomagania władzy sądowniczej znane były od dawna, w tym — jej nieformalne powiązania z politykami. Sami prawnicy też nie kwapili się, by wyrażać niezadowolenie ze stanu instytucji, z którymi związali swe kariery. Odpowiedź na to pytanie jest dość prosta i wynika ze znaczenia profesji prawniczej: jest to, podobnie jak instytucje brukselskie, dogodny sojusznik w wojnie z PiS-em. Tyle że priorytety intelektualistów nie są priorytetami społeczeństwa — jest to zrozumiałe i świadczy o trzeźwości sądów zwykłych obywateli — intelektualści nie lubią więc społeczeństwa. Politycy zaś liczą się ze społeczeństwem raz na cztery lata i wiedzą, że nie będzie ono angażować się *en mass* ani na rzecz usprawnienia administracji, ani w sprawach dotyczących liberalizacji obyczajów.

W swym dziele o wielkości i upadku Rzymu Monteskiusz zauważył, że u narodzin państwa przywódcy tworzą instytucje, później instytucje kształtują przywódców. Krótko mówiąc, krytyka społeczeństwa jest źle ulokowana. Problem tkwi na górze, w elitach, w ich kulturze i procesie samoreprodukcji. Społeczeństwo nie może wiele w tej kwestii zdziałać.

Andrzej Friszke: Na wstępie muszę zaznaczyć swoją odmienność od innych uczestników dyskusji. Nie jestem socjologiem, jestem historykiem. Nie zajmuję się programowo współczesnością, zajmuję się właściwie wyłącznie przeszłością. I w związku z tym to, co za chwilę powiem, będzie miało troszkę inny charakter. Słucham uważnie Państwa i przypomina mi to sytuację oglądania jakiejś bryły z różnych perspektyw. Właściwie wszystkie te uwagi wydają mi się słuszne, jeżeli patrzymy na tę bryłę z różnych miejsc, na różne rzeczy zwracamy uwagę. Tak też proszę potraktować to, co powiem — będzie to dorzucenie kolejnych refleksji, które mnie jako historykowi się nasuwają.

Otóż, za przyczynę pewnych zmian można uznać parę elementów. Po pierwsze, zanik klas społecznych i ich tożsamości. Nawet jeszcze u początków transformacji, społeczeństwo polskie było podzielone na klasy i klasy te miały swoje dominujące tożsamości. Od razu zastrzegam, proszę nie łąpać mnie za słowo, czym jest klasa społeczna. Socjolodzy mają to przemyślane, ja mówię „wulgarnie”, tak po prostu. Była różnica pomiędzy, powiedzmy, chłopami, robotnikami, inteligencją, kadrą urzędniczą. Te grupy miały swoje trochę odrębne tożsamości kulturowe, odrębne trochę sposoby życia, odrębne hierarchie czy poczucia — to, gdzie się czujemy bezpiecznie albo co uważamy za sukces, za indywidualne powodzenie, a czego się boimy. Coś takiego istniało w tych grupach, dobrze to opisał Stefan Nowak. Poczucie narodu, wspólnoty było bardzo ogólne w gruncie rzeczy, bo te tożsamości — powiedziałbym, środowiskowe — nie wymuszały uzgodnienia pojęcia, czym jest naród. To wyobrażenie było zróżnicowane. W toku przemian ekonomiczno-społecznych lat dziewięćdziesiątych dotychczasowe klasy zaczęły zanikać. Państwo zapewne potrafilibyście lepiej to ode mnie opisać. Zanikła klasa robotnicza, widzimy to gołym okiem. Nie ma wielkich zakładów, nie ma wielkich grup robotników, nie ma wielkich tożsamości w tej grupie. Mam wrażenie, że na wsi dzieje się właściwie to samo. I w rezultacie powstał taki układ, że jest „lud”. Ci ludzie sami może tak siebie nie definiują, ale w gruncie rzeczy istnieją przez opozycję: „my” i „oni”. „Oni” to znaczy te „elity”, „wykształciuchy”, to są ci bogaci i z nimi związani, a reszta to jest „lud”. Mam wrażenie, że taki podział jest silny i wzmacnia poczucie budowania własnej tożsamości, określa antagonizmy, no i oczywiście jest też bardzo intensywnie wykorzystywany w walce politycznej.

Po drugie, w ramach tego samego procesu następuje zakwestionowanie dotychczasowej roli elit i jest to uwarunkowane rozwojem nowych technologii, przede wszystkim internetu. Państwo o tym nie mówiliście, a to moim zdaniem kluczowa sprawa, jestem o tym przekonany. Jak popatrzymy na ostatnie, powiedzmy, sto lat, to widzimy, że społeczeństwo miało naturalną stratyfikację, nikt jej w gruncie rzeczy nie kwestionował. Wszyscy tak to rozumieli: na górze byli ci zamożni i wykształceni — to mogła być szlachta, to mogło być bogate mieszczaństwo, to była inteligencja różnych grup — i ludzie znajdujący się na niskich szczeblach drabiny społecznej w zasadzie to akceptowali. Widzi-

my to w ruchach, na przykład ludowym czy robotniczym. Wiadomo było, że liderami są ci, którzy są gdzieś tam na górze, więcej wiedzą, więcej się nauczyli, mają większe doświadczenie. W zasadzie to nie było kwestionowane. I to byli ci „nauczyciele”, którzy przekazywali obraz świata, idei i kultury. Warto sobie przypomnieć tekst Kołakowskiego *Kapłan i błazen*. Oni byli tymi „kapłanami”...

M.Ł.: Właśnie „kapłan” i „błazen” to dokładnie to, o czym mówiłem, że z jednej strony jest „kapłan”, który wprowadza reguły, i jest „błazen”, który...

A.F.: ...kwestionuje...

M.Ł.: Tak, kwestionuje. I, według mnie, to potwierdza ten podział — nie ma tej trzeciej kategorii...

A.F.: W każdym razie ci „kapłani” zostali zakwestionowani w gruncie rzeczy we wszystkich sferach. Nie będę tego rozwijał, dotyczy to na przykład socjologów. Przypomnijmy sobie lata siedemdziesiąte czy osiemdziesiąte, gdy próbowaliście opisać społeczeństwo, to w zasadzie wszystkie grupy polityczne, ideowe przyjmowały to jako orzeczenie ekspertów i nikt tego nie kwestionował. Odnosi się to na przykład do raportu „Polacy 80”, którego współautorzy siedzą tu na sali. Przyjmowano go, zastanawiano się, dlaczego tak jest, ale nie kwestionowano ustaleń. Dzisiaj tego typu opisy, raporty, diagnozy mogą być swobodnie zakwestionowane...

M.M.: ...jako metodologicznie niesłusznie...

A.F.: Metodologicznie niesłusznie, kłamliwie. Ja teraz odnoszę się do historii — można coś opisać na źródłach, dać historię zdarzeń, a ktoś przyjdzie i mówi: „A nieprawda! Bo my wiemy lepiej”. Tego kiedyś nie było. Istniała powaga autorytetu, który o czymś stanowi i w zasadzie nie można było go zlekceważyć, jeśli coś należycie udowodnił. Dzisiaj, absolutnie, można. Oglądaliśmy na własne oczy, co się działo w ciągu ostatniego roku z wszelkimi autorytetami prawa, które właściwie zgodnie kwestionowały różne rzeczy, wydawano pewne oceny i były one kompletnie ignorowane. Kompletnie! Takiej sytuacji kiedyś nie mieliśmy. A katastrofa smoleńska.... Może nie powinienem o tym mówić, ale tu to już mamy do czynienia z fizyką! To, co mówią fizycy, kiedyś było niekwestionowalne. Po prostu... nie wchodziło w grę, że można powiedzieć, że fizycy nie mają racji...

J.S.: Obie strony mają swoich fizyków...

M.M.: Ale nie ma dwóch fizyk!

A.F.: Dlaczego doszło do takiej sytuacji? Moim zdaniem problemem jest internet. Jeżeli popatrzymy na sposób rozpowszechniania informacji, opinii, historii, a także w gruncie rzeczy ideologii politycznej, to kiedyś oczywiście odbywało się to też za pośrednictwem mediów, przeważnie prasy. Jednak ta prasa była kontrolowana przez elity. Zgoda, zróżnicowane, na przykład elity konserwatywne albo elity socjalistyczne, ale sam fakt, że przekaz, opinia była kontrolowana, wymuszała jakość, uniemożliwiał lansowanie rzeczy jawnie nieprawdzych, blokował pewne ruchy. Chyba że było to działanie absolutnie cyniczne, ale to bardzo rzadko się zdarzało. Jednym słowem — debata miała swoje ramy, a zatem także to, co spływało w dół w postaci popularyzacji, schematów, też w jakimś stopniu było kontrolowane. Dzisiaj takiego ograniczenia nie ma. Można dowolne rzeczy, absolutnie nieprawdziwe powiedzieć, czy o przeciwnikach, czy nawet w kwestiach niepolitycznych, dotyczących na przykład medycyny. I jeśli zdobędzie to poklask jakiejś grupy, może stać się elementem dominującym w wyobrażeniach społecznych. Mam wrażenie, że takiej sytuacji wcześniej nie było. To drugi wymiar problemu.

M.G.: Czy należy to łączyć z internetem i rozwojem mediów?

A.F.: Tak, wcześniej było to po prostu niemożliwe, albo zasięg jakichś fikcji był ograniczony przez przekazywanie z ust do ust w pewnych kręgach, względnie publikacje w pismach o założonej niskiej wiarygodności. Dziś nie ma testu wiarygodności, jeśli dany „fakt” znajduje wyznawców, staje się równorzędny z innymi. I to jest część bardzo istotnej, moim zdaniem, zmiany społecznej. Prowadzi do pewnej anarchii, jeśli tak można powiedzieć, braku poczucia, gdzie jest prawda i za czym mam iść. Sam przecież nie jestem w stanie stwierdzić, kto ma rację, bo jeśli „specjaliści”...

A.Z.K: To jak gra w „orła” i „reszkę”...

A.F.: Tak, przyjmuję tak zwane narracje i mogę zaakceptować bezkrytycznie to, co mi mówią ci, do których mam sympatię, sentyment. Ci, którzy bardziej atrakcyjnie do mnie przemawiają, do moich wartości.

Zwróćmy jeszcze uwagę na to, że w polskiej tradycji rzeczywiście mamy dwa wielkie nurty myślenia o sprawach publicznych i w ogóle definiowania polskości. Ciągnie się to w gruncie rzeczy od XVIII wieku. Mamy sarmatyzm i konfederację barską, określony typ religijności, określony typ definiowania własnej tożsamości, odrębności od Zachodu, bunt przeciwko Oświeceniu, a po drugiej stronie — tych „facetów w perukach”, którzy przejęli Oświeceniem, chcą przetranszować z Zachodu wzory racjonalnego myślenia, zachowania, wizji państwa, prawa... Ta walka ma miejsce, w różnych, może łagodniejszych formach, przez cały wiek XIX, a w okresie międzywojennym trwa gwałtowny konflikt między endecją a, moim zdaniem, w istocie całą resztą. Jeżeli popatrzymy na to w „grubych

kategoriach” — jak definiujemy polskość, tożsamość, to z jednej strony mamy endecję, a więc: etniczny naród, emocjonalna religia, poczucie własnej tożsamości i rodzaj zamknięcia, obrony przed złymi wpływami z zewnątrz. Z drugiej strony mamy szeroki wachlarz różnych orientacji, bo pluralizm kulturowy jest tu naturalny. Mówi się „obóz Piłsudskiego”, ale tam mieszczą się i socjalizm, i różne odcienie liberalizmu, i ruch demokratyczny, i pewna wizja awansu chłopów, właśnie w strukturach państwa, pluralistycznych — wizja obywatelstwa, narodu rozumianego jako wspólnota pluralistyczna. Jest to jakby pragmatyka naszej współczesności, ma też związek na przykład ze stosunkiem do mniejszości narodowych.

A.L.: Tylko ruch chłopski nie znalazłby się tutaj...

A.F.: Upierałbym się, że by się znalazł. Nie cały, co prawda. Był bardzo podzielony — mamy ruch „Piasta” i mamy ruch „Wyzwolenia”. Mikołajczyk zapewne by się nie znalazł w obozie endeckim, ani Rataj, prawda? Ten ruch był niespójny, w związku z tym różne rzeczy możemy udowodnić. Mam wrażenie, że po latach, gdy już nie było takiego ostrego podziału, w tej formacji kształtującej się od lat siedemdziesiątych były skłonności trochę konserwatywne, bardziej liberalne, bardziej socjaldemokratyczne. Ale to wszystko można było zamknąć w formule Kołakowskiego: „liberalno-socjalistyczny konserwatyzm” czy „liberalno-konserwatywny socjalista”. To taki żart oczywiście, ale jeżeli się do jego tekstu wróci, to widać, że naprawdę oddaje on sposób myślenia naszego pokolenia, naszej formacji. Naprawdę myśmy tak myśleli! Myśleliśmy, odrzucając wszelkie skrajności, to znaczy zakładając, że wszelkie twarde tożsamości ideologiczne są złe, bo istnieją różne racje, które należy starać się harmonizować. To się skończyło w naszych czasach, bardzo częste jest teraz dążenie do jednoznaczności, braku relatywizmu, a więc braku wątpliwości — przekaz musi być coraz bardziej prosty, a zatem skrajny. I to łączyłbym z zanikiem roli autorytetów, tych elit.

Chciałbym jeszcze powiedzieć o dwóch rzeczach. W tym wszystkim ogromna jest rola Kościoła i tego, co się dzieje wewnątrz polskiego Kościoła. Mówimy „konserwatyzm” i łączymy Kościół z konserwatyżmem. Słusznie! Bo jakżeby inaczej, ale formuła oddziaływania Kościoła, ta duszpasterska, w warstwie społecznej, przez minione dziesięciolecia zawsze była obliczona na przeciwdziałanie polaryzacji. Za Gierka było to wyraźne, nawet za Gomułki. Była walka z władzami, ale prymas nie chciał polaryzacji, w latach siedemdziesiątych to już zdecydowanie! W obozie Solidarności podobnie. Obowiązywała „doktryna”, że w Polsce nie wolno doprowadzić do nadmiernego pogłębienia konfliktu politycznego, ideologicznego, bo dojdzie do rozlewu krwi, a to grozi państwu, grozi wszystkim. Z tego wynikała też pewna polityka — „polityka” to może złe słowo — oddziaływania na społeczeństwo w kierunku hamowania ekstremów, również po własnej stronie. To się kompletnie skończyło! Niedawno ukazała

się książka Zbigniewa Mikołejki *Między zbawieniem a Smoleńskiem*, który opisuje, co się dzieje w polskiej religijności, w polskim katolicyzmie. Są to zjawiska zupełnie niesłychane, widzimy to zresztą we własnych telewizorach. Coraz bardziej zanika uniwersalna funkcja religii, która kiedyś przekazywała wartości uniwersalne i miała przez przyjmowanie nauk Ewangelii prowadzić do zbawienia, a coraz bardziej akcentowane są wątki tożsamościowo-narodowe. I te tożsamościowo-narodowe, bardziej obyczajowe funkcje zachowań religijnych stały się dominujące, co prowadzi do utożsamienia świata religijnego z jedną grupą, z jednym wyobrażeniem polskości, jednym wyobrażeniem religii, a nawet jest próbą powiedzenia, że „tylko my jesteśmy Polakami”. Znaczy to — jak powiedział podobno pan Zybertowicz — że PiS tworzy nowy naród.

I ostatnia kwestia. Aktualna i, moim zdaniem, bardzo ważna — stosunek do zagłady Żydów. Mam wrażenie, że wśród różnych spraw, które Polaków dzielą i antagonizują, jest to obecnie bardzo silny element. Chodzi o poczucie, co jest Polską, gdzie są Polacy, kto to są Polacy? Poczucie, że są to narodowi katolicy, jest oczywiście formułą wykluczającą, wyłączającą obywatelskość, godzi też w osoby żydowskiego pochodzenia, a także w inne mniejszości. Jest również rzutowane w przeszłość. Dyskurs publiczny dotyczący stosunku Polaków do zagłady Żydów jest bardzo rozpowszechniony i mam wrażenie, choć oczywiście żadnych badań nie prowadziłem, że sięga pod strzechy, zwłaszcza po Jedwabnem. Czy my jesteśmy winni tego Jedwabnego, czy nie winni? A może to dobrze, że zabili tych Żydów w Jedwabnem? A może dobrze, że w ogóle tych Żydów zabili? A może to źle? To są takie proste pytania, na które różni ludzie próbują sobie odpowiedzieć i budują przy tym własne tożsamości, własne punkty odniesienia. Prawica uderza przy tym w nas, czyli liberałów, czyli tych, którzy „szargają polskość”. Jest to bardzo modne określenie — szarganie polskości, znieważanie polskości. Jest tu gdzieś taki bardzo bolesny punkt, którego dotknięcie spowodowało bardzo silne reakcje godnościowe i tożsamościowe. Mam wrażenie, że bez tego elementu te inne nie nabrałyby takiej ostrości. Tu jest poczucie zaatakowanej tożsamości — tej właśnie „bez skazy, bez zmayı”, bo religijnie usankcjonowanej polskości.

A.L.: W wielu sprawach zgadzam się z przedmówcą, ale w jednej się nie zgadzam. Chodzi o kwestię rozłożenia ról intelektualnych i dyskursywnych na „błazna” i „kapłana”, co jest bardzo ważną tezą Kołakowskiego. Proponowałbym ją odczytać w kontekście znanej diagnozy Fryderyka Nietzschego, zawartej w *Narodzinach tragedii z ducha muzyki*, gdzie Nietzsche pisze mniej więcej, że „błazen” i „kapłan” rodzą się wówczas, gdy grupą dominującą w mieście, w Atenach, staje się mieszczaństwo. Wcześniej był jeszcze ktoś inny, był „bohater tragiczny”; przynależał on do czasu wojny, konfliktu, agonu. Pojawienie się Eurypidesa, czyli „błazna”, i Sokratesa, czyli „kapłana”, unicestwia postać „bohatera tragicznego”. Sens tego wywodu jest taki, że ideowa dominacja kapłana i błazna, o której Kołakowski mówi jak o figurze wyczerpującej wszyst-

kie możliwości, to podział związany z polityczną i kulturową dominacją mieszczaństwa w społeczeństwie. Mieszczaństwa różnie rozumianego, bo oczywiście trudno mówić w czasach gierkowskich o klasycznym mieszczaństwie, to raczej „mieszczaństwo urzędnicze”. Wcześniej natomiast, w okresie wojny, a potem stalinizmu, podział był zupełnie inny: nie było miejsca na „błazna”, co do „kapłana” też miałbym wątpliwości, raczej mogli się pojawić „bohaterowie tragiczni”. Myślę, że teraz wchodzimy w okres, w którym znowu jest miejsce bardziej dla „bohaterów tragicznych” niż dla „błaznów” i „kapłanów”. W tym sensie tekst Kołakowskiego wydaje mi się trochę anachroniczny.

Jeszcze kwestia autorytetu. W okresach „wielkich konfliktów” „bohaterowie tragiczni” są potrzebni, ich rola jest kluczowa, ale jest to też czas kwestionowania autorytetów i ogromnego krytycyzmu. Przecież krytyka wszelkich autorytetów z różnych, bardzo mocnych pozycji politycznych, chociażby marksistowska, jest właśnie związana z bardzo silnymi konfliktami społecznymi. Wydaje się, że w tym sensie rozchwianie autorytetu — również autorytetu nauki — jest raczej świadectwem restrukturyzacji czy rozpadu dotychczasowego pola, które organizowało naszą wyobraźnię, a internet jest oczywiście raczej symptomem tego procesu i narzędziem niż powodem. Tak bym to widział.

Mirostawa Marody: Ja z zainteresowaniem przysłuchuję się dyskusji, ponieważ zrobiłam właśnie dosyć duże badania i szukam pomysłów, jak można zinterpretować ich wyniki. Trochę pomysłów w tej dyskusji się pojawiło, ale wydają mi się nieużyteczne, i to z jednego powodu. Mianowicie... nie dotyczą społeczeństwa. A zaczęliśmy od podziałów społecznych. Zgadzam się z tym, co najlepiej wyartykułował Antoni Kamiński, że przez cały czas mówimy o podziałach w elitach politycznych, podziałach, które schodzą trochę niżej, na grupę, powiedziałabym, „aktywistów emocjonalnych”, zaangażowanych w ich podtrzymywanie. Natomiast gdy czyta się transkrypcje wywiadów z ludźmi, to oczywiście trafia się na niektóre *cliché*, takie frazy, które wyraźnie są zapożyczone, „idą” z góry, z dyskursu intelektualnego. Siedzą tu na przykład autorzy ulubionego wyjaśnienia podawanego przez moich badanych, że „wszystkiemu winna mentalność Polaków”...

A.L.: Ale ono istniało już przed Janem Sową.

M.M.: I przed Andrzejem Lederem. Chodzi mi o to, co powiedział Andrzej Friszke, po prostu ludzie załapują sobie takie gotowe frazy. Mentalność Polaków — to naprawdę wpada w ucho. I jest takim poręcznym zwrotem. Nie dostrzegam jednak istnienia tego w rozmowach z ludźmi. Na przykład mogę się zgodzić absolutnie ze wszystkim, co zostało tutaj powiedziane o polskiej religijności i roli Kościoła. Ale co zrobić, gdy okazuje się, że religijność Polaków jest krańcowo antyklerykalna? Oni odrzucają Kościół, zwłaszcza Kościół w roli politycznej, w sposób naprawdę bardzo zdecydowany. Zdumia-

łam się też, gdy po przeliczeniu zobaczyłam, że dla 88% badanych ważna jest — i to osobiście — demokracja. Niezbyt się to zgadza z tym, co obserwujemy w sferze działań. Oczywiście, mogę założyć, że są frakcje, które tę demokrację różnie rozumieją. Ale to poparcie dla demokracji coś znaczy. Dlaczego ludzie wybierają tego typu odpowiedzi? Przykłady tego typu można byłoby mnożyć.

Przy pierwszym podejściu do zebranego przez nas materiału rzucają się w oczy dwie ważne rzeczy. Pierwsza to jest to, że ludzie chcieliby czuć się równi. Nie chodzi przy tym o równość w sensie ekonomicznym. To jest raczej kwestia, którą oddaje angielskie słówko *equity*, czyli chodzi o normy równościowe? O takie *recognition* — znowu trudno przetłumaczalne angielskie słówko...

A.P.: ...uznanie...

M.M.: Tak, ale ono jest wieloznaczne, bo to i „rozpoznanie”, i „uznanie”. Chodzi wyraźnie o niepewność co do szacunku, jakim darzy nas otoczenie. I jest to dla ludzi bardzo ważne. Mogę to śmiało połączyć z procesami rozbicia tożsamości, ale myślę, że ze względu na swoją powszechność jest to znacznie ogólniejszy proces, który nie stanowi specyficznie polskiego problemu.

A.P.: O ukazanie takich problemów chodzi w tej dyskusji...

M.M.: Moim zdaniem, mamy do czynienia z takim procesem przemian, które zachodzą właściwie w całym świecie, przynajmniej zachodnim — istoty przemian wschodnich czy azjatyckich dobrze nie znamy. To jest proces, który łączy się nie tyle z rozpadem społeczeństwa, ile z taką jego transformacją, z takim zamienieniem go w olbrzymi plac budowy, na którym żaden kawałek nie pasuje do niczego. Na tym placu budowy uwijają się politycy, którzy oczywiście korzystają ze schematów poznawczych obecnych w danym społeczeństwie. W tym sensie możemy pokazywać, że dzisiejsze podziały są kontynuacją osiemnastowiecznych polskich wzorców. Ale sednem działania polityków nie są te niegdysiejsze podziały, oni po prostu serfują na emocjach, na czystych emocjach, a nie na tym, co rzeczywiście dziś ludzi dzieli (lub łączy). W książce Ulrike Guérot *Europejska wojna domowa*, którą ostatnio przerabiałam ze studentami, to wykorzystywanie przez polityków emocji zostało przedstawione w odniesieniu do Niemiec i innych krajów Europy. Takie działanie jest w tej chwili najłatwiejsze. I najbezpieczniejsze, bo nie rodzi zobowiązań. No bo co mają politycy robić? Obiecować powrót społeczeństwa opiekuńczego czy państwa opiekuńczego? Nie ma na to środków. No, w każdym razie nie takich, jakie...

A.L.: Tu prawdopodobnie dyskutowalibyśmy...

J.S.: Środki są, ale nie ma ich państwo, lecz burżuazja...

M.M: Oczywiście, ale wracamy w ten sposób do burżuazji i elit oraz upadku autorytetów i roli, jaka odegrał w tym internet. Tymczasem autorytety zaczęły upadać przed upowszechnieniem internetu z bardzo prostego powodu. Mianowicie autorytet jest funkcją przemocy symbolicznej, a przemoc symboliczna jest funkcją dominacji klasowej. Jak nam się rozwała struktura klasowa, to padają wszystkie narzędzia podtrzymywania przemocy symbolicznej i każdy może mówić, co chce. I powiedzieć: „nie ma pani racji” albo „niech mi pani nie przerywa”. W każdym razie myślę, że prowadzona w tej chwili analiza opcji politycznych, podziałów politycznych trochę mija się z celem, ponieważ w gruncie rzeczy znacząca część społeczeństwa, nie mówię, że wszyscy, wybiera po prostu „mniejsze zło”, czyli poglądy najbardziej zbliżone do własnych, nawet jeśli bardzo odległe. Albo się po prostu nie idzie na wybory, albo się głosuje na Kukiza, ponieważ on wreszcie roz... ten system. Zwróćcie uwagę, tu nie ma namysłu politycznego, który znamy z przeszłości. Tu nie ma dyskusji programowej. Tu jest po prostu emocjonalne ustosunkowanie się do zmiany, która pozbawiła nas punktów oparcia w rzeczywistości, protest przeciwko sytuacji, w której „inni nie wiedzą, kim naprawdę jestem”, a w dodatku „mój wysiłek nie przynosi takich efektów, jakie powinien przynieść”. Jest więc tutaj coś, co znajduje ujście nie tyle w polityce, ile w aktach agresji na drodze — to Anglicy ukuli ten termin *road rage* — albo w wycofaniu się.

Jest jeszcze druga kwestia, która pojawia się w wypowiedziach badanych. Mianowicie bardzo specyficzny stosunek do zarządzania rzeczywistością przez elity polityczne, reprezentujące państwo. Mianowicie — niech się państwo ode mnie odczepi. Jak się państwo ode mnie odczepi, to ja zacznę po prostu lepiej funkcjonować. Można dyskutować, że to państwo jest jakoś potrzebne, ale większości badanych, z którymi prowadziliśmy rozmowy, ono przeszkadza. To znaczy przyjmują 500 Plus, przyjmą każdy datek, bo właściwie dlaczego nie wziąć, skoro dają, prawda? Stosują przy tym podział na tych, którzy się dorobili, oczywiście niesłusznie, na „patoli” — czyli przedstawiciele grup patologicznych, którzy nie pracują, a właściwie wszystko dostają — oraz na siebie z rodziną.

To, co powiedziałam, jest trochę ilustracją mojej bezradności, wróć więc do początku naszej dyskusji. Coś z tego dyskursu politycznego, dyskursu naukowego ścieka na dół. To znaczy nie jest tak — jak ktoś tutaj powiedział — że jeśli trzeba jakoś swoje odczucia wyrazić, wyartykułować, opisać, to wtedy się sięga do tego, co jest w oficjalnym dyskursie najmocniej wybite, a najmocniej wybite są podziały. Bo to nie są te podziały, które naprawdę dzielą społeczeństwo. W pewnych oczywiście warunkach mogą się takimi stać, ale też nie obejmą całości, tylko będą wciągały „aktywistów emocjonalnych”, ta grupa być może będzie ulegała rozszerzeniu. Z badań wynika jednak, że społeczeństwo jest dosyć otwarte, tolerancyjne. Nawet w stosunku do migrantów znaczna część ma całkiem racjonalne postawy. Nie twierdzę, że jesteśmy wzo-

rem otwartości, ale to wcale nie jest ta ciemna tłuszczka, która wszystkiego się boi i nikomu nie ufa. Tak zwany „lud”, jako przeciwieństwo „elit”, po prostu jest zajęty czym innym niż to, co my tutaj usiłujemy uchwycić. Jest zajęty dorabianiem się, gdyż ciągle jest to biedne społeczeństwo, które w dodatku pojeździło sobie po Europie. I to jest główny układ odniesienia, to są te ramy, które się wyrażają w przekonaniu: „Kurczę blade, marchewka w Brukseli i Warszawie kosztuje tyle samo, ale moja pensja tutaj jest znacznie mniejsza niż to, co zarabiałem w Brukseli!”. My sobie nie uświadamiamy, jak wielkie znaczenie miało to wejście do Unii Europejskiej, że to nie jest już wyjazd ze wsi do Puław czy Warszawy, żeby zobaczyć „cywilizację”. To jest oglądanie świata, w którym się wiele widzi, widzi między innymi takie codzienne poczucie równościowe, codzienne, bo wcielone w każdą interakcję. To nie jest kwestia haseł rewolucji francuskiej. To wytworzyło się później, może po drugiej wojnie światowej. Niezależnie od tego, ile masz pieniędzy, może więcej ode mnie, jesteś takim samym człowiekiem jak ja, prawda? Brakuje mi pojęć do wyartykułowania tego, co wychodzi w badaniach, ale jestem przekonana, że nie będą to te pojęcia, o których tutaj mówiliśmy. Opisują one adekwatnie górną warstwę tego „wiru”, o którym mówił Andrzej Kamiński, czyli to, co się dzieje w polityce i co jest napędzane potrzebą wyartykułowania tożsamości politycznej. Natomiast pojęcia te nie służą artykułowaniu tożsamości osobistej, zamiast nich jest jedynie: „Nie wiem co zrobić, żeby inni nie widzieli we mnie tylko mechanika samochodowego”. A kogo ja mam w nim widzieć, jak przychodzę naprawić samochód? On chce, żeby zobaczyć w nim coś więcej, a ja nie wiem, co ja powinnam zrobić, żeby poczuł się dowartościowany...

A.F.: Czyli właśnie problem godności?

M.M.: Użyłabym takiego określenia, gdybym nie uważała, że to pojęcie zostało kompletnie spalone. Dla mnie zresztą nie jest to kwestia godności, poczucie godności jest indywidualistyczne, a tu chodzi o interakcjonistyczne *recognition*, a więc uznanie, szacunek, jakim darzymy się w stosunkach z innymi. Anka Giza pisząc o przemianach w okresie PRL-u — nawiasem mówiąc, wtedy, podobnie jak dzisiaj, również mieliśmy do czynienia z rozwaleniem całej struktury, tyle tylko, że wyraźniej wyznaczone były granice „klasy panującej” i wyraźniej wyartykułowane podziały w dyskursie społeczno-kulturowym — wskazywała, że podstawową strategią w interakcjach społecznych było „osiąganie respektu przez despekt”, czyli wymuszanie społecznego szacunku przez „despekt” wyświadczany innym osobom...

A.P.: ...przez dyskredytację innych?

M.M.: ...tak, i teraz też jest to bardzo wyraźne.

A.P.: To jest taki uniwersalny mechanizm, znany psychologii społecznej, jak usprawiedliwiamy swoje porażki i cudze porażki, jak wyjaśniamy nasze zwycięstwa...

M.M.: Ale to narasta, to się nasila w sytuacjach niepokojów i destabilizacji całego społeczeństwa.

A.P.: Pojawiają się wtedy te binaryzmy, polaryzacja. Mówisz teraz Simmlem...

M.M.: Podkreślam, że ta polaryzacja jest artykułowana...

A.P.: Pojawia się w polu dyskursowym, oczywiście.

M.M.: I my się do tego przyczyniamy.

A.P.: To jest funkcja niepewności i znakomicie to wyjaśnia teoria Becka, Giddensa dotycząca paradoksów indywidualizmu zinstytucjonalizowanego — oto człowiek pozostawiony sam sobie, uwolniony ze struktury ma budować tożsamość, a wiadomo, że psychologia jest w gruncie rzeczy takim aspektem naszego bytu, który decyduje o tym, że to, co indywidualne, jest możliwe tylko przez umiejscowienie w kolektywności. Innymi słowy, nie ma indywidualnej tożsamości, czysto atomowej.

M.M.: Nawiasem mówiąc, pomyślałam, że może wcale nie jest tu potrzebna przemoc symboliczna. Ludzie mogą sobie zachować iluzję, że myślą na własne sposoby, wystarczy ta indywidualizacja strukturalna, ponieważ jednostka pozostawiona sama sobie *vis-à-vis* instytucji jest w zasadzie bezradna...

A.P.: I wtedy łatwo się sięga po te proste, upraszczające, binarne mechanizmy...

M.M.: No, z niechęcią zazwyczaj, ale...

A.P.: ...bo nie ma innych środków artykulacji...

M.M.: A poza tym, można przy okazji podpiąć się pod strumień posad i różnych apanaży, który przy każdej zmianie ekip zaczyna ruszać na nowo, prawda? To są też takie taktyki, nie tyle przeżyciowe, ile „awansowe”.

A.P.: Wszyscy nasi goście już się wypowiedzieli. Otwieram teraz dyskusję. Już z udziałem wszystkich obecnych.

Michał Kotnarowski: Ja chciałbym nawiązać do kilku wcześniejszych głosów. Na przykład dane empiryczne potwierdzają to, o czym mówił profesor Kamiński, że wir jest silny na górze, a im głębiej tym słabszy — jeśli porównujemy koniec lat dziewięćdziesiątych i początkowe lata dwutysięczne, ówczesne pozycje i stanowiska elit partyjnych i elektoratów partyjnych, to okazuje się, elity — prawica, lewica — zawsze były bardziej radykalne w kwestiach takich jak aborcja...

M.M.: ...bardziej wyraziste, taka ich rola...

M.K.: W zasadzie pośrodku była trochę taka „magma”, z lekkimi przesunięciami.

M.Ł.: Ja jeszcze dodam, bo nie wiem, czy pamiętacie, jak Lech Wałęsa toczył „wojny na górze” — po to, żeby „doły” się nie były. To jest to, o czym zapominamy...

A.P.: ...pacyfikacja dołów...

M.M.: ...racjonalizacja...

A.F.: ...zaangażowanie „dołów” w ten właśnie sposób ...

M.K.: Z kolei do tego, o czym mówił Andrzej Leder o istnieniu pewnego liberalno-konserwatywnego konsensu, dodałbym, że w zasadzie przez lata dziewięćdziesiąte aż do 2005 roku był też konsens ekonomiczny. I nie zgodziłbym się z profesorem Grabowską — podział postkomunistyczny w zasadzie nie dotyczył kwestii ekonomicznych, więcej było o stosunku do PRL, o stosunku do relacji państwo–Kościoł, o kwestiach związanych z moralnością, a z analiz Jacka Wasilewskiego i Radosława Markowskiego wynikało, że elektoraty partyjne w zasadzie nie różniły się wówczas poglądami na to, jakie polityki ekonomiczne prowadzić. Co więcej, w zasadzie powszechna była zgoda co do tego, dokąd iść, jaką drogą ekonomiczną Polska ma się rozwijać. Elity postkomunistyczne po 1993 roku nie postulowały powrotu do komunizmu, lecz w zasadzie kontynuowały linię ekonomiczną Balcerowicza, może z niewielkimi modyfikacjami, ale była to ciągle taka sama polityka ekonomiczna. Z badań wyborczych, jeszcze za czasów AWS-u i SLD, widać, że w elektoratach obu partii byli „wygrani” i „przegrani”, tacy bardziej „socjalni” i bardziej liberalni ekonomicznie. W odniesieniu do wyborów z 2005 roku pisaliśmy o podziale na Polskę solidarną i liberalną. Wówczas partie chciały się między sobą jakoś różnić, ale były z tego samego antykomunistycznego „pnia”, więc podziału postkomunistycznego nie można było używać. Dane empiryczne wskazują jednak, że podział na Polskę solidarną i Polskę liberalną świetnie odpowiadał różnicom w kategoriach społeczno-ekonomicznych i w poglądach na kwestie ekonomiczne. O ile do lewicy

czy prawicy wcześniej kwalifikowały kwestie aksjonormatywne i stosunek do przeszłości, o czym pisali Tadeusz Szawiel i Mirosława Grabowska, o tyle podział solidarna / liberalna mocno spajał się z wykształceniem, z pozycją zawodową, z wielkością miejscowości, w której się mieszkało, a także z rodzajem polityk w różnych sferach: co zrobić z prywatyzacją, czy podnosić podatki...

M.M.: Ale w tej chwili się porozchodził...

M.K.: Nie jestem pewien...

M.M.: No, bo każda strona ma swoich profesorów...

M.G.: To prawda! No, to jest ten wir na górze.

M.M.: Ale na dole też...

M.K.: Dane Polskiego Generalnego Studium Wyborczego z lat 2007, 2011, 2015 ciągle wskazują na znaczenie kwestii społeczno-ekonomicznych.

Jeszcze uwaga do tego, o czym mówił Jan Sowa, że podziały zawsze były i cały ład polityczny powinien polegać — tak jak twierdzą Lipset i Rokkan — na tym, że z jednej strony są podziały, z drugiej strony są partie, które te podziały zagospodarowują, odpowiadają pewnym grupom dbając o pewne interesy, ale te partie „na górze” jednak się dogadują w cywilizowany sposób, przeprowadzają swoją politykę. Być może nasz problem polega na tym, że ta komunikacja na górze...

M.G.: Góra zawodzi, tak?

M.K.: Tak.

M.G.: Ja zaczęłabym „z grubej rury”, to znaczy od miłości Michała Łuczewskiego, ponieważ to wcale nie papież Franciszek ani w ogóle nikt z tych sfer tylko Talcott Parsons upatrywał rozwoju...

M.M.: A potem „dzieci-kwiaty”...

J.S.: Myślałem, że Jezus w przykazaniu „byście się wzajemnie miłowali”.

M.G.: Wśród socjologów Parsons rzeczywiście oczekiwał rozwoju nowej religijności, duchowości w kierunku powstania „religii miłości”, może wartością czy racją bytu tej całości, którą widział na horyzoncie, była właśnie miłość. Rozwój wydarzeń pokazuje jednak, że to nie ma szans realizacji. Zejdźmy jednak na niższy, polski poziom. Jeżeli 90% deklaruje, że wierzy, a 30% albo 38% chodzi

do kościoła, to nie można spodziewać się, że wszyscy wierzący będą do siebie podobni. Kościół, czyli wspólnota wiernych, jest bardzo zróżnicowany i zapewniam Państwa, że słuchacze „Radia Maryja” głosowali i na SLD, i na Platformę Obywatelską, choć o. Rydzyk zakazywał itd. Istnieje takie wyobrażenie, że to jest jakby „pięść” katolicko-narodowo-antysemicka, nie wiem jaka jeszcze...

M.M.: ...diabelska...

M.G.: ...w końcu diabelska, ale zupełnie się to rozmija z rzeczywistością. Nie dziwi mnie antyklerykalizm, znajduje potwierdzenie w badaniach ilościowych, zresztą w Polsce międzywojennej on też był wyraźny, także czy może przede wszystkim w warstwach chłopskich...

M.M.: Antyklerykalizm jest wyrazistym efektem mieszania się Kościoła do spraw polityczno-społecznych...

M.G.: ...czego ludzie sobie wyraźnie nie życzą...

M.M.: Absolutnie! Jedyny wymiar, na którym Kościół jest akceptowany, to problemy duchowe jednostki.

M.G.: Nawet osoby, które się deklarują jako wierzące i praktykujące, tego sobie nie życzą. Anegdotycznie mogę przypomnieć, jak profesor Klemens Szaniawski mówił, że jego ojciec przed wojną był „wierzącym antyklerykałem”, on zaś jest „niewierzącym klerykałem”. My przechodzimy teraz chyba znowu do etapu „wierzącego antyklerykała”. Jeśli zaś chodzi o nacjonalizm i wszystko, co jest z nim związane, to w badaniach ilościowych go nie dostrzegam. Są środowiska identyfikujące się z nacjonalizmem, ale zupełnie marginesowe, wybory też to potwierdzają. Są one natomiast bardzo głośne.

M.M.: I tu też uzupełnienie z moich badań. Mieliśmy pytanie: Co jest cechą prawdziwego Polaka? Bycie katolikiem — odpowiedziało 24% pytanych.

M.G.: To i tak dużo.

J.S.: A jaka jest najczęstsza odpowiedź?

M.M.: Język.

M.G.: Język, kultura...

M.M.: Każda z cech była osobno oceniana i z rozkładu odsetków wynikało, że najbardziej się liczy coś, co określiłabym jako poczucie bycia Polakiem, choć

nie odważyłabym się na podstawie tych wyników przewidywać, jak ludzie będą się zachowywali w konkretnych sytuacjach.

A.P.: Badania socjologiczne nigdy tego nie uchwycą.

M.G.: Gdy na podstawie badań CBOS-u analizuję trendy, to po blisko trzydziestu latach w niektórych wypadkach dostrzegalne są niewiarygodne wręcz zmiany! Lipset w latach dziewięćdziesiątych zauważył, że struktura społeczna z modelu piramidy — dużo ludzi na dole, średnio w środku, mało na górze — zmieniła się w strukturę „diamentu” (mało na dole, dużo w środku, mało na górze). Przed kryzysem mówiło się tylko *underclass*, a właściwie wszyscy inni byli „w środku”. Ale ten „środek” był bardzo posegmentowany, bardzo popękany, w zależności od miejsca, gdzie się pracuje, czy się pracuje na eksport czy na rynek lokalny, jaki jest system podatkowy... Trudno jest w tym „środku” skonstruować czy nabyć tożsamość społeczno-zawodowo-warstwową czy...

A.P.: ...klasową... I bardzo trudno jest taką tożsamość narzucić. Nie w sensie przemocy symbolicznej, ale tego, jak ją konstruować, proponować. Nie wiem, co teraz, po kryzysie Lipset powiedziałby na ten temat. Nie wiem też, w jakim stopniu ten „diament” odpowiada Polsce. Myślę, że jeszcze nie albo wcale nie.

J.S.: Zachodnim społeczeństwom odpowiada coraz mniej. Klasa średnia po prostu się kurczy...

M.G.: Odpowiada mi wizja, że stąpamy po takim zmieniającym się gruncie, i zarówno politycy, co mnie mniej interesuje, jak i my staramy się jakoś te „lotne piaski” zdefiniować...

M.M.: I scalić, na moment chociażby.

M.G.: I różnie nam to idzie.

Grażyna Kubica: Jestem antropolożką społeczną i chciałam tu poddać kilka klasycznych antropologicznych pomysłów, które bardzo dobrze nadają się do naszej dyskusji. Po pierwsze, chciałabym wyjść od teorii schizmogenezy Gregory’ego Batesona, sformułowanej w książce *Naven*, o której wspomniał na wstępie Andrzej Piotrowski. W naszym kontekście byłaby to schizmogeneza symetryczna, czyli różnicowanie się wzorów zachowań dwóch grup, prowadzące do eskalacji i podziału struktur. Jeśliby się przejąć taką teorią, to właściwie mamy do czynienia z katastrofą. Jedynie wojna, jakiś zewnętrzny wróg mógłby sytuację złagodzić.

M.Ł.: Tylko nie wiadomo, czy jesteśmy właśnie w konflikcie...

G.K.: Ale jak posłuchałam tego, co tu było powiedziane, przede wszystkim wypowiedzi profesor Marody, to jednak okazuje się, że nie jest tak źle. Teoria Batesona nie dotyczy elit, czy politycznych aktywistów, to nie jest kwestia dyskursywna, z czym mamy głównie do czynienia w Polsce. To jest kwestia zachowań ludzi, dzieląca całe społeczeństwo...

A.P.: ...kontaktów międzykulturowych i międzyludzkich...

G.K.: Tak, dlatego się uspokoiłam. Te czarne scenariusze, które ta teoria sugeruje, raczej nie mają w naszym przypadku zastosowania. Jednak sądzę, że bardzo dobrze jest myśleć Batesonem, wyobrażać sobie takie sytuacje, w których schizmogeneza symetryczna faktycznie mogłaby mieć miejsce.

Po drugie, chciałabym nawiązać do Jana Stanisława Bystronia i jego *Megalomanii narodowej*, napisanej w 1926 roku, którą współcześnie czyta się jako niezwykle aktualny tekst. Pokazuje on, że taka sytuacja, jaką mamy obecnie, już wcześniej miała miejsce. Taka lektura bardzo dobrze robi studentom. Bystron przedstawił koncepcję megalomanii narodowej, oczywiście krytykując tę cechę, ale nie otwarcie, raczej w podtekście. Nie pisze o niej tak, by stworzyć podział: że są owi straszni megalomani i jesteśmy „my”, którzy lepiej wiemy. Nie, raczej widzi megalomanię narodową jako przerost, jako takie „przebiegnięcie” po prostu. Ale docenia też jej pozytywną rolę. I właściwie uważa, że utrzymywanie tej megalomanii w ryzach jest rozwiązaniem dobrym społecznie.

Jeszcze mam trzecie odniesienie lekturowe. Mianowicie chciałam nawiązać do Stefana Czarnowskiego i tego, co pisał o antyklerykalizmie w eseju *O kulturze religijnej wiejskiego ludu polskiego*. Antyklerykalizm był, według niego, jedną z ważniejszych cech fundujących w ogóle ten typ religijności. Tak że to naprawdę nie jest jakaś nowość i ja myślę, że ten antyklerykalizm trochę inaczej obecnie się wyraża, chodzi w nim o coś innego niż za czasów Czarnowskiego, na przykład o ten postulat niemieszania się do polityki.

M.G.: Moim zdaniem to jest pamflet na religijność ludową...

M.Ł.: Zgadza się to, co Czarnowski pisze o młodych mężczyznach, którzy stoją przed kościołem. Jak się jedzie przez polską wieś, to właśnie młodzi mężczyźni sobie palą papieroska, jest msza... To zostało.

M.M.: Nie, to, co ja znalazłam w badaniach, to nie tyle obojętność przy pozornym zaangażowaniu, ile zestawianie zachowań z tym, co się mówi — odnośną wrażenie, że ludzie mają do zarzucenia Kościołowi całkowite rozmijanie się, jak dawniej mówiono, „słów i czynów”, czyli z jednej strony mamy afery pedofilskie, homoseksualizm, afery finansowe, a z drugiej — parcie na rygoryzm, na

wykorzystywanie prawa. Chodzi o zawłaszczanie, „kolonizowanie” kolejnych obszarów życia i to jest absolutnie przez ludzi odrzucane... Mam wrażenie, że w ogóle nie chcieliby, żeby ktokolwiek ich kolonizował. Może z wyjątkiem Zenka Martyniuka...

G.K.: Jeszcze jedną kwestię chciałabym poruszyć. Profesor Friszke wspominał o ranie, gdy mowa o współudziale Polaków w zagładzie Żydów, że to jest taki drażliwy moment. Wydaje mi się, że fundamentalną winę za to ponosi polska szkoła, która była nacjonalistyczna odkąd pamiętam, a pamiętam ją dość długo. To jest szkoła, która uczy nacjonalistycznej wizji polskości. To jest wizja przekazywana od czasów Moczara, która później jakoś diametralnie się nie zmieniła. Problem Zagłady trudno przepracować w domu. Myślę, że nie wszystkie rodziny stać na to. To jest taka typowa kwestia, którą powinna podjąć szkoła. Powinna uczyć, jak radzić sobie z takimi właśnie problemami, a tego po prostu się nie robi.

M.M.: Ja dorzuciłabym to, że zgadzam raczej z Michałem Kotnarowskim, który kładzie nacisk na czynniki materialne. Musimy pamiętać o tym, o czym już wspominałam: to jest społeczeństwo, które w ciągu ostatnich raptem pięćdziesięciu, może siedemdziesięciu lat dopiero zaczyna się dorabiać. Czasami w sposób nie do zaakceptowania. Mamy taką trajektorię, która rozpoczyna się od Żeromskiego — *Rozdziobią nas kruki, wrony* to było o chłopach rabujących trupy powstańców — a za mojego życia... pamiętam reportaże po katastrofie samolotu w Kabatach, okazywało się, że okoliczna ludność robiła to samo. Mentalność Polaków to są jednak za duże słowa do opisu tego typu zachowań. Okropnych, ale one są związane z transmisją doświadczeń życia w okropnej biedzie.

G.K.: Zyskać także na Holokauście.

M.M.: Tak, pośrodku tej trajektorii powinnam była to umieścić.

Barbara Pasamonik: Chciałabym poruszyć dwa wątki. Po pierwsze, słuchając intrygującej i inspirującej relacji z badań profesor Marody, zwłaszcza o trudnościach z ich interpretacją, przypomniałam sobie artykuł Elżbiety i Jacka Tarkowskich o amoralnym familizmie. Tu i tam można odnaleźć wyrazisty podział na sferę publiczną i sferę prywatną, a także niechęć do instytucji i do państwa. Wydaje się, że wcale aż tak długiej drogi nie przebyliśmy, że pewne sprawy przez cały czas pokutują...

Drugie skojarzenie, jakie nasunęło mi się podczas słuchania relacji z tych badań to znane określenie Baumana „płynna nowoczesność” — sytuacja, w której globalny układ odniesienia oraz chroniczna niepewność prowokują powszechne pytanie: Kim jestem? Jak zaspokoić ową masową chęć bycia kimś, skoro nie

bardzo wiadomo, wokół czego budować tożsamość, skoro już nie ma porządku klasowego. Jak zaspokoić potrzebę zaistnienia? Stąd fiksacja na zdobywaniu uznania.

Jeśli zaś chodzi o miłość jako „trzecią drogę”, to brzmi to pięknie, ale w kontekście rozbudzonego nacjonalizmu, który bazuje na pierwotnych emocjach i podziałach, na poczuciu zagrożenia wynikającym z odwiecznego podziału na „my” i „oni”, bardzo trudno jest wzbudzić, nawet po jakimś czasie, ową miłość bliźniego. I psychologia społeczna, i psychologia ewolucyjna pokazują, że jest to prognoza mało realistyczna...

M.Ł.: Chciałbym dodać jedną uwagę dotyczącą Batesona. Opisany przez niego mechanizm *double bind*, który według niego odpowiedzialny jest za powstawanie schizofrenii, można przenieść na poziom dyskursu politycznego. Bateson wskazuje, że do powstania sytuacji sprzyjającej schizofrenii potrzebne są trzy elementy: po pierwsze, oficjalny komunikat strony A skierowany do strony B, po drugie, działanie A, które przeczy komunikatowi, po trzecie, niemożność rozjęcia się A i B.

A.P.: Jest też pomieszanie poziomu komunikatu i metakomunikatu, działanie i komunikat.

M.Ł.: Czy z taką sytuacją nie mieliśmy do czynienia, gdy elity III RP mówiły społeczeństwu: jesteście waszymi oświeconymi, demokratycznymi reprezentantami, a jednocześnie ich działanie było odczytywane przez adresatów jako elitystyczne i wykluczające. Co więcej, początkowa silna retoryka solidarnościowa zacierała realny konflikt i nie pozwalała nam się „rozejść”. Czy nie lepiej od razu było założyć, że się nie lubimy, że trwa wojna wszystkich ze wszystkimi, że nie ma jednej Polski, lecz jest wiele Polsk? Może jest to sytuacja lepsza niż dominacja symboliczna, gdy jedni mówią: „My was kochamy, a dlaczego wy nas nie kochacie? Wszystko dla was zrobiliśmy, jest społeczeństwo obywatelskie, jest reforma ekonomiczna, są niezależne sądy. O co wam chodzi?”.

J.S.: Bez wątplenia każdy kogoś nie lubi, ale czy to się układa na jakiś sensowny obraz?

M.G.: Ależ oczywiście, że się układa. Antoni Kamiński zadeklarował się jako symetrysta. Już niedługo symetrystów nie będzie, ponieważ obie strony symetrystów po prostu zetrą w proch.

J.S.: Przede wszystkim nie ma żadnej symetrii, rzeczywistość społeczna jest bardziej skomplikowana, nie ma prosto ustawionego dyskursu.. Nie lubimy się. To są ci, których się nie lubi...

M.M.: To są banalne przypadki, ale one się rozgrywają na co dzień, co chwilę jakiś „despekt” nas spotyka, tylko dlatego że ta druga osoba usiłuje zbudować sobie dobre samopoczucie. Co więcej, jestem pewna, że my również wykonujemy takie gesty wobec innych.

J.S.: Ale to by znaczyło, że to jest jakiś inwariant natury ludzkiej...

M.M.: Frustracja...

J.S.: Ale dlaczego mamy 27 lat nieustannego wzrostu PKB, czego nikt nigdy nie osiągnął i dlaczego w tej sytuacji mimo wszystko ludzie czują się niezadowoleni i niedowartościowani?

M.M.: Tak, z jednej strony jesteśmy zadowoleni, rośnie nam samozadowolenie, a z drugiej strony...

J.S.: Bo tu właśnie nie tylko o stan posiadania chodzi. To jest bardzo skomplikowane, chodzi o aspiracje, poczucie...

M.M.: Tu chodzi o duszę, proszę pana. Zawsze chodzi o duszę.

J.S.: ...porównywanie się, wartości itd.

G.K.: Albo nie ma w stosunku do kogo się „wypuszczać”, jak mówił Witkacy. To już tu zresztą padało, że nie tyle chodzi o jakieś przekonanie o sobie, ile o to, że jest ktoś niżej, jakiś „głupek” na dole. On jest tym „głupkiem”, więc ja jestem supermenem.

J.S.: Nie, to nie chodzi o to, że on jest mechanikiem, a ja..., chodzi o to, że by zachować taką sferę własną, inną, która nie jest relacją zawodową, w której bylibyśmy równi? Na przykład posyłam moje dziecko do tej samej szkoły, do której mój mechanik posle swoje dziecko. Jest pewne miejsce w praktyce społecznej, gdzie spotykamy się jako równi... Problem z polskim społeczeństwem polega na tym, moim zdaniem, że takich sfer nie ma. Nie chodzi o to, że są sytuacje, w których występuje różnica społeczna. Kluczowe pytanie, skąd się to bierze?

M.M.: Skąd się to bierze? Niech pan pójdzie na mecz, w którym grają dzieci, i obserwuje nie dzieci, tylko rodziców. Toż oni zachowują się jak najgorsi kibole, zagrzewając swoje dzieci do walki zupełnie bezsensownie.

J.S.: Tak było w kapitalizmie...

M.M.: W kapitalizmie, przynajmniej na początku, człowiek był przekonany, że jak będzie ciężko pracował, to do czegoś dojdzie. I zazwyczaj to mu się jakoś udawało... nie „od pucybuta do milionera”, ale przynajmniej „od pucybuta do szewca”...

A.P.: Wyobrażalne horyzonty awansu...

M.M.: Tak, były jakieś zasady, wiedziano, czego przestrzegać. No, a w tej chwili, gdyby miał Pan synowi przekazać, co on ma robić, żeby zrobić karierę, to nie znajdzie pan takiego algorytmu.

M.G.: A może Pan nie chciałby przekazywać tego algorytmu...

J.S.: Nie chciałbym.

M.M.: No to recepty, żeby dobrze żył. To wszystko jedno!

J.S.: Powiem mu, żeby był dobrym człowiekiem, ale to jest coś zupełnie innego. To w ogóle nie jest żaden gwarant sukcesu.

M.G.: Pan jest zblazowanym intelektualistą z Warszawy i nie ma tej potrzeby wpychania dziecka na drabinę społeczną.

M.M.: Jak go zacznie dofinansowywać, gdy dzieciak będzie miał 30 lat, to będzie sobie pluł w brodę, że mu nie powiedział, jak to zrobić...

J.S.: W społeczeństwach kapitalistycznych dzieci tylko dlatego istnieją, że są dofinansowywane przez pokolenie rodziców. Na tym polega załamanie się „amerykańskiego marzenia”, na tym polega bunt mas w Wielkiej Brytanii. Nie stać nas na mieszkania...

M.M.: To pokazuje pęknięcia w systemie, których nie da się załatać... bo rodzice umrą albo sami zaczną wymagać podtrzymywania. Oczywiście jest, że możliwości zachodniego systemu się wyczerpały i pomysły są różne, ale...

A.P.: Kiedyś istniały wspólnoty sensu...

M.M.: Właśnie, ja nie twierdzę, że te wspólnoty sensu coś szczególnego wyróżniało, chcę tylko powiedzieć, że one były. Osobiście nie lubiłabym żyć w dziewiętnastowiecznej Anglii, zwłaszcza urodzona w...

A.P.: ...umiejscowiona bardzo precyzyjnie...

M.M.: ...ale muszę powiedzieć, że społeczeństwo jako całość pozwalało jakoś odnaleźć się w świecie, nawet jeżeli jednostkom było nie najprzyjemniej. Chętnie zatem posłuchałabym innej narracji niż ta, o której mówiliśmy. W tym „bipolaryzmie” jedno mnie niepokoi — kompletny brak alternatyw. Miłość może być przyjmowana jako...

B.P.: ...ideał...

M.M.: ...ale ja nie chcę, żeby ktoś mi nakazywał kochać innych. Niech by to przynajmniej zeszło na niższy poziom, na którym będę wiedziała, co mnie spotka, jeśli poniżej Kowalskiego. Powinny być jakieś konkretne normy, podtrzymywane przez innych uczestników interakcji. W tych deliberacyjnych budżetach partycypacyjnych ludzie się jakoś dogadują. Może powinniśmy w ogóle zabronić mówić o ideach, tylko nastawić się na rozwiązywanie konkretnych spraw. Idee są niebezpieczne, a ja jestem takim bardzo pragmatycznym socjologiem...

A.P.: Niebezpieczne, zwłaszcza jeżeli zbyt szybko przechodzi się z poziomu empirycznego i poziomu problemów do rozwiązania do kategorii, które muszą być dysjunktywne, bo są na piętrze wartości...

M.M.: Przecież chodzi już nie o „ciepłą wodę w kranie”, ale o sprawny system opieki, szanse dla starszych ludzi...

A.P.: Proszę Państwa, dyskusja dobrze nam się rozwija, zamiast się wyczerpywać. Niesłuchanie cieszy mnie to jako gospodarza, ale powinienem już ją zakończyć. Nie uda mam się teraz jej podsumować. Bardzo Państwu dziękuję. Myślę, że trzeba będzie do tematu powrócić za jakiś czas. Jeśli się zgodzicie, to możemy za rok spotkać się i porozmawiać: Co z tymi podziałami? Co się stało przez rok?